



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

trzech na jednego

JEDEN:

GRZEGORZ W. KOŁODKO

TRZECH:

EDWARD CHUDZIŃSKI

FILIP RATKOWSKI

PAWEŁ SĘKOWSKI

TRZEBA SIĘGNAĆ DO NOWEGO PRAGMATYZMU

EDWARD CHUDZIŃSKI: Jak zwykle, rozmowę z cyklu „Trzech na jednego” zaczynamy od pytania o szeroko rozumiany rodowód. Pan pochodzi z Tczewa, a zatem z regionu zwanego Kociewiem...

GRZEGORZ W. KOŁODKO: Tak, to moje rodzinne strony. W Tczewie się urodziłem, natomiast zawsze byłem emocjonalnie i kulturowo związany z Gdańskiem, dla którego Tczew jest miastem satelitarnym. Tam mój ojciec, jako inżynier-projektant w Gdańskim Biurze Projektów Budownictwa Komunalnego, pracował do emerytury. Tam mój brat chodził do technikum i potem przez wiele lat pracował w tym mieście, a ja po maturze przez rok byłem robotnikiem na budowie. Stało się tak, ponieważ zdawałem na handel zagraniczny, na najbardziej oblegany wtedy kierunek studiów w Szkole Głównej Planowania i Statystyki, SGPiS, obecnie SGH. Nie przyjęto mnie, co wtedy ciężko przeżywałem... Zostałem więc niewykwalifikowanym pracownikiem fizycznym i drażyłem z kolegami tunel pod Dworcem

Głównym w Gdańsku. Dojeżdżałem codziennie do pracy z Tczewa, także w soboty, bo wtedy i w soboty się pracowało, parową ciuchcią, zajmowało to blisko godzinę! Marzyliśmy wtedy, żeby kolejka elektryczna kursująca po Trójmieście, dowoziła nas do Tczewa.

Innym miejscem, które zachowałem we wdzięcznej pamięci, jest dom rodzinny mojej babci w miejscowości Gródek, poczta Drzycim, powiat Świecie. Jeździliśmy tam z mamą na letnie wakacje. Na skraju wsi była chata mojego wuja – Ignaca, brata babci, w której nie było elektryczności ani bieżącej wody. Gdy brakło wody w studni, a tak niekiedy bywało w suche lata, trzeba było po nią chodzić do strumyka przepływającego przez pobliski parów. Byłem mały i dlatego musiałem łańcuchy od wiader nawijać na nosidła, żeby je skrócić. Pasałem, a jakże, gęsi, szukałem w sianie w stodole jajek zniesionych przez kury. Te widoki wracają do mnie wraz z nostalgią, gdy teraz, włączając się ciągle po świecie, oglądam podobne obrazki w Mali albo w Boliwii... A przecież to

było raptem 60 lat temu! Odwiedziłem Gródek tego lata. Wciąż pięknie tam! Ale nie ma już chaty wuja Ignaca, parów gęsto zarośnięty, ale las i pola pachną tak samo...

Mam jeszcze siostrę, która opuściła Tczew trzy lata przede mną, podejmując studia na psychologii na Uniwersytecie Warszawskim, oraz starszego o sześć lat brata, który dotychczas mieszka w Tczewie; praktycznie całe życie, wyłączając trzy lata służby na okręcie podwodnym w Wojskach Ochrony Pogranicza w Gdańsku. Ja ostatecznie Tczew porzuciłem, bo za następnym razem na SGPiS się dostałem. Na ekonomikę produkcji, bo na ów handel zagraniczny w 1969 roku rekrutacji nie było. Prawdę mówiąc, bardzo chciałem być z dala od mego małego miasta, gdzie wszyscy wszystkich znali, i jak każdy młody człowiek żyć z dala od czujnych oczu rodziny.

Brak przyjęć na handel zagraniczny to był oczywiście skutek Marca'68, gdyż ten kierunek był mocno obsadzony przez dzieci dobrze ustawionych ludzi z „warszawki”, zaliczanych wtedy do tzw. czerwonej burżuazji. Po tych studiach szło się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych lub Handlu Zagranicznego, a w trzeciej kolejności do central handlu zagranicznego, skrajnie scentralizowanych organizacji gospodarczych.

Tak więc wydarzenia marcowe przeżywałem w Gdańsku jako robotnik w kufajce. Żeby zrozumieć, co się dzieje, kręciłem się między klubem studenckim „Żak”, Domem Prasy przy Targu Węglowym, gdzie się mieściły redakcje trzech regionalnych gazet i budynkiem Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Czasami nadarzyła się okazja, żeby razem z kolegami pokrzyknąć: „telewizja kłamie”. Dziś zresztą też kłamie, acz inaczej; taka jest, widać, jej natura!

CHUDZIŃSKI: Dwa lata później w Gdańsku znowu się działo...

KOŁODKO: W grudniu 1970 roku sytuacja była zgoła odmienna. Co do nas, studentów, to skrócili nam wtedy zajęcia na uczelni, więc natychmiast wsiadłem do pociągu i pojechałem najpierw do Tczewa, a potem do Gdańska. Tam czuć było jeszcze proch w powietrzu. To były ciężkie chwile...

PAWEŁ SĘKOWSKI: Cofnijmy się jednak o rok. Już na pierwszym roku studiów wybierają Pana do władz Zrzeszenia Studentów Polskich.

KOŁODKO: Rzeczywiście, lubiłem przewodzić. Już w szkole podstawowej i średniej bywałem gospodarzem klasy – albo „prowodyrem” lub „hersztem”, zależy o jaką sytuację chodziło – i zawsze słyszałem, że jestem „trudny”. Może dlatego, że korci mnie, by zadawać trudne pytania, za to nie wszyscy cenią człowieka. Podczas nauki szkolnej miałem przez 11 lat lekcje religii. Zadawałem trudne pytania i, co może wyglądać nieco paradoksalnie, akurat ksiądz sobie takiego kontestującego ucznia cenił. Niektórzy nauczyciele – przeciwnie. Dwukrotnie, w ósmej i dziesiątej klasie, miałem nawet tróję z zachowania, no ale to nie za zadawanie pytań...

FILIP RATKOWSKI: To było duże osiągnięcie! Niełatwo dostać tróję z zachowania! A nie próbował Pan jakoś zużywać nadmiaru swojej energii w harcerstwie albo w innej organizacji?

KOŁODKO: Od małego mam awersję do munduru i jedyna dwójka, jaką otrzymałem na okres w szkole, to dwójka właśnie z przysposobienia wojskowego, bo przez pięć kolejnych tygodni dostawałem dwójke

za zbyt długie włosy i to zdołowało średni do pały! Moje złe przeżycia z okresu studiów to marnotrawione na niczym przerażająco nudne zajęcia na Studium Wojskowym, gdzie normalnych studentów próbowano przerobić na żołnierzy. W dodatku w sąsiedztwie mieliśmy budynki sztabu generalnego i idąc na zajęcia lub z nich wracając, co rusz trzeba było podnosić rękę do czapki. Po ośmiu godzinach wracał człowiek do akademika, zrzucał ciuchy, brał prysznic i znów czuł się normalnie.

A w szkole żadnej działającej organizacji, poza samorządem, nie było, zatem właśnie trafiał mi się gospodarz klasy. Tymi funkcjami niejako wymienialiśmy się z kolegą i gdy wychowawca miał już dość jednego, po roku zastępował go drugi. I tak przez kilka lat na zmianę. Na świadectwie maturalnym mam jednak z zachowania bardzo dobry, bo ciało pedagogiczne doszło do wniosku, że nie można mi zamykać drogi na studia.

SĘKOWSKI: A tam nie tylko odnalazł się Pan w ZSP, ale i w PZPR. Skąd taka decyzja?

KOŁODKO: Nie był to na pewno przypadkowy impuls. Wkrótce po Marcu'68 próbowałem zrozumieć, co tak naprawdę i dlaczego się dzieje, i chciałem na te zmiany jakoś wpływać. Tak myślałem wtedy, a i przez wiele lat potem, nie rozumiejąc jeszcze głębiej istoty systemu. Chciałem wrzucić swój kamyczek do ogródka, będąc „w” a nie „poza”. Gdybym do PZPR wstąpił jeszcze w Gdańsku, to pewnie ktoś by mi wypomniał, że zrobiłem to, by dostać się na studia...

I tak jak lubiłem sobie kiedyś podyskutować z księdzem, tak lubiłem „pyskować” na zebraniach partyjnych. Do tego zresztą moje członkostwo w PZPR się sprowadzało; był to swoisty klub dyskusyjny, a dyskusje w SGPiS bywały pasjonujące i inspirujące. Nawet stypendium Fulbrighta w 1984 roku dostałem wbrew stanowisku Uczelnianego Komitetu PZPR, który wtedy mógł wiele. Na uczelni moja kandydatura przepadła, ale zgłosił mnie bezpośrednio do Ministerstwa Nauki Stanisław Majewski, prezes Narodowego Banku Polskiego, którego wówczas, już jako doktor habilitowany, byłem doradcą. System był wtedy taki, że ministerstwo wysyłało do ambasady USA dwakroć więcej kandydatów niż było miejsc i po rozmowie kwalifikacyjnej znalazłem się w gronie tych, których Amerykanie wybrali.

Na studiach bardzo mocno aktywizowałem się w ZSP. Najpierw na wydziale, potem kierując pracami Komisji Kultury Rady Uczelnianej, wreszcie jako szef Rady Uczelnianej, skądinąd najmłodszy w jej dziejach, bo już na początku trzeciego roku studiów. Do tych funkcji wystartowałem w demokratycznych wyborach, bo ZSP było organizacją, która demokratycznych zasad trzymała się skutecznie przez długie lata! *Nota bene*, jedyne odznaczenie, jakie otrzymałem w całym okresie PRL, to Srebrny Krzyż Zasługi przyznany mi na wniosek organizacji studenckiej.

Nie pełniłem nigdy funkcji partyjnych, ale jako przewodniczący RU ZSP zostałem w 1971 roku wybrany na konferencję dzielnicową, a potem i wojewódzką PZPR. Mało brakowało, a byłbym delegatem na zjazd, przewidzianym przez kogoś z władz jako jedyny delegat-student. I wtedy ni w pięć ni w dziewięć oblałem egzamin z języka angielskiego, a raczej „mnie oblano”, bo z rozmaitych powodów nie podszedłem do dwóch kolejnych terminów. Wtedy partia zmusiła mnie do rezygnacji



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

z funkcji prezesa Rady Uczelnianej. Też to wtedy ciężko przeżywałem.

RATKOWSKI: Nieźle jak na człowieka, który dziś chyba częściej wykląda po angielsku niż po polsku!

KOŁODKO: Przez ten angielski musiałem formalnie powtarzać rok. Zrobiłem wszak kolejne dwa semestry awansem, przygotowałem pracę magisterską pod kierunkiem profesora Maksymiliana Pohorillego i pani prodekan, z którą zresztą miałem od dawna na pieńku, nie miała wyjścia. Musiała dopuścić mnie do obrony. Studia przeto skończyłem w terminie, ale w życiorysie mam odnotowane, że byłem „robolem”, jak i to, iż byłem „repetentem”. Mogę jeszcze pochwalić się i tym, że z przedszkola usunięto mnie za złe sprawowanie i ostatni rok przedszkolny spędziłem u boku mamy, w domu...

Dodam jeszcze, że – paradoksalnie – następstwa wydarzenia Marca'68 miały dla mnie wielce pozytywny skutek. Oto prof. Pohorille, którego wykładów z ekonomii już na pierwszym roku z autentyczną fascynacją słuchałem, był wcześniej rektorem Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR, a na SGPiS prowadził wykłady z ekonomii politycznej socjalizmu. Jako człowiek pochodzenia żydowskiego został z tej funkcji usunięty, zaś na SGPiS zamieniono mu wykłady z ekonomii politycznej socjalizmu na kapitalizm, czyli ekonomii gospodarki rynkowej. Żartował później, że to tak jak w chińskim teatrze, gdzie „gorszy” aktor dostaje „gorszą” rolę. Do niego właśnie trafiłem na seminarium magisterskie – już z pełną świadomością, dzięki wysłuchaniu wykładu, którym go obarczono „za karę”, co to jest ekonomia – i wymyśliłem sobie sam pracę na temat nierównowagi rynkowej w Polsce.

Rzecz była podejrzana, bo w socjalizmie nierównowagi być nie powinno. A mnie właśnie to zafascynowało; w podręcznikach nie, a w rzeczywistości jest! Dla „bezpieczeństwa procesowego” w tytule pominięte zostało słowo „nie” i obroniłem pracę *Równowaga rynkowa w Polsce w latach 1965-1970*, w której dowodziłem, jaka jest i dlaczego – skala rynkowej – nierównowagi. Pracę obroniłem w 1972 roku i, ni stąd ni zowąd, dostałem za nią nagrodę Ministra Finansów! Nawet nie wiedziałem, że do niej kandyduję, a to na wniosek dziekana, ale już nie tego, który nieco wcześniej kierował mnie na repetę...

Nieco później, latem 1973 roku po raz pierwszy w życiu wyjechałem za granicę. Już jako „pan magister”. Uczelnia wysyłała grupę studentów do Czechosłowacji na tzw. praktykę, choć w istocie była to bardzo fajna trzytygodniowa wycieczka i potrzebny był tzw. opiekun. Chętnych nie było, więc trafiło na mnie. Nie krzywdzę sobie zresztą, bo bawiliśmy się dobrze w Bratysławie, Brnie i w Pradze; tam zwłaszcza „U Fleku”, pijąc w kłębach dymu tytoniowego czarne piwo. Dziś zastanawiam się, jak to możliwe, że wtedy człowiek wytrzymał jakoś ten dym?

CHUDZIŃSKI: W latach 70. był Pan młodym pracownikiem nauki. W tym środowisku ujawniły się poglądy rewizjonistyczne i postawy opozycyjne. Czy można jakoś Pana z nimi łączyć?

KOŁODKO: Rozumiem, że to nie jest jakaś supozycja, lecz normalne pytanie. Nie, nigdy bym siebie nie zaliczył ani do rewizjonistów, ani do tzw. opozycji demokratycznej. Natomiast do swoistej intelektualnej opozycji – jak najbardziej. Rewizjonizm w partii ujawnił się już po Październiku'56, ale o opozycji demo-

kratycznej nikt wtedy nie słyszał. Mówiło się najwyżej o „siłach antysocjalistycznych”, do których ani ja sam się nie zaliczałem, ani nikt chyba mnie nie zaliczał. Najbliższe wydaje mi się funkcjonujące wówczas określenie „reformator”.

Wpływ na mnie miały niewątpliwie przemiany po roku 1970, to co później nazwano „dekadą Gierka”, bo wówczas wiele się działo. Mnie do tej pory brakuje czegoś takiego, jak trzy ówczesne tygodniki, każdy o własnym profilu i każdy na wysokim poziomie. Mam na myśli „Politykę”, „Kulturę” i „Życie Gospodarcze”. Może moja opinia niejednego zirytuje, ale doprawdy wtedy było co czytać.

CHUDZIŃSKI: Jak dalej rozwijała się Pańska kariera naukowa?

KOŁODKO: Kilka miesięcy po studiach, w grudniu 1972 r. dostałem się na studia doktoranckie w SGPiS. To była dla mnie wielka sprawa! Nie tylko wstąpiłem już nieodwracalnie na tory ekonomii, ale też zakorzeniłem się na stałe w stołecznej Warszawie. Prof. Pohorille był także promotorem mojej pracy doktorskiej. Nieobciążony żadnymi funkcjami miał dla nas, młodych pracowników, doktorantów, sporo czasu. Przegadaliśmy dosłownie całe dni nie tylko o gospodarce i ekonomii. Na trzecim roku studiów doktoranckich zostałem zatrudniony jako starszy asystent, mając już złożoną i przyjętą, choć jeszcze nieobronioną pracę doktorską. I tym razem sam obrałem jej temat: *Cykliczność wzrostu w socjalizmie*. Znowu „mocno podejrzany”.

RATKOWSKI: Od wstrząsu do wstrząsu?

KOŁODKO: Nie. Chodziło raczej o wskazanie okresów wyższego i niższego tempa wzrostu w sytuacji, gdy mamy do czynienia z wbudowanymi endogenicznymi mechanizmami, które nieuchronnie powodowały okresowe zwolnienia i przyspieszenia tempa tegoż wzrostu. W rezultacie nie był on ani równomierny, ani zrównoważony. Brało się to z przeinwestowania gospodarki, co wiązało się z państwową własnością środków produkcji i towarzyszącego jej braku twardych ograniczeniami budżetowymi z powodu ograniczonej roli pieniądza. Podczas kulminacji czasu „szybkiego i harmonijnego rozwoju”, na posiedzeniu Rady Wydziału otwierając mój przewód doktorski profesor Stanisław Maciej Zawadzki, kierownik Katedry Planowania i Polityki Gospodarczej, a zarazem dyrektor jednego z departamentów Komisji Planowania, powiedział: niech się Kołodko spieszy, bo może nie zdążyć!

Jednak zdążyłem, obroniłem pracę, wiosną 1976 roku zostałem adiunktem i pracowałem w Katedrze Ekonomii Politycznej na Wydziale Ekonomiki Produkcji do roku 1983. Tam jednak coraz mniej mi się podobało, bo mieliśmy zająć się „rozwinieciem społeczeństwem socjalistycznym” jako problemem węzłowym. Jako niezależny ekonomista i badacz nie mogłem wszak tolerować przeideologizowanego i upolitycznionego dyskursu, tym bardziej że nieustannie ciągnęły mnie kwestie styku teorii z praktyką, polityki z gospodarką i społeczeństwem, niespójności dominujących interpretacji z trzeszczącą rzeczywistością, prawdy z nieprawdą. Postanowiłem napisać książkę o inflacji, mając już prawie gotową pracę habilitacyjną z zupełnie innego zakresu. Podejmując temat inflacji w socjalizmie, musiałem wypowiedzieć lojalność i opuścić tamtą katedrę.

Dokąd trafiłem? Otóż pewnego razu spotkałem redaktora naczelnego kwartalnika „Gospodarka Planowa”, noszącego wcześniej i dziś tytuł „Gospodarka Narodowa”, profesora Zygmunta Knyziaka, gdzie kilka lat wcześniej złożyłem artykuł zatytułowany *Cykle wzrostu w Polsce Ludowej* (ukazał się pt. *Fazy wzrostu...*, bo „cykle” źle się cenzurze kojarzyły...). Profesor Knyziak zaproponował mi pracę w swoim zespole, w którym był także profesor Krzysztof Porwit, zauważając, że mnie bardziej interesuje teoria polityki gospodarczej niż ekonomii. Coś w tym było na rzeczy, bo zawsze gdy badam jakieś zjawiska czy procesy gospodarcze, to się zastanawiam, co z nich wynika dla polityki, która powinna służyć zrównoważonemu rozwojowi i spójności społeczeństwa. I tak przenieśliśmy się z Katedry Ekonomii Politycznej do Katedry Planowania i Polityki Gospodarczej, przychodząc przy okazji na Wydział Finansów i Statystyki, choć z finansami ani statystyką miałem niewiele wspólnego. Już tam sfinalizowałem przewód habilitacyjny w oparciu o monografię *Cele rozwoju a makroproporcje gospodarcze*, którą najpierw wydała SGPiS, a potem dość szybko PWN.

Pisałem, nie tracąc czasu, książkę *Polska w świecie inflacji*. Tytuł nawiązywał do *Alicja w krainie czarów*, ale chyba tylko mnie tak się kojarzył. Nikt tych badań nie blokował, po dwóch latach praca ukazała się w wydawnictwie Książka i Wiedza i stała się podstawą do przyznania mi profesury – Senat SGPiS wysłał wniosek w 1988 r.

RATKOWSKI: Był Pan wciąż jeszcze przed czterdziestką. Najmłodszy profesor w Polsce.

KOŁODKO: Wtedy tak; teraz już nie... Równocześnie pisywałem do „Życia Gospodarczego” i do „Polityki”, gdzie w jakimś momencie zaproponowano mi stały esej. Zauważono mnie w NBP; profesor Władysław Jaworski, który tworzył zespół doradców prezesa, zaproponował mi tam pół etatu. Miałem już żonę i córkę, która się urodziła na 5 tygodni przed wprowadzeniem stanu wojennego, więc zostałem doradcą i przetrwałem w tym charakterze do końca 1987 roku. Towarów wówczas brakowało, inflacja się rozkręcała, mało skutecznie blokowano wzrost cen, więc rosły „oszczędności przymusowe”. Sporo o tym pisałem, także po angielsku. Namawiałem prezesa do ostrego postawienia w sejmie kwestii równowagi rynkowej, ale okazało się, że pewne rzeczy, które wydają się ekonomicznie racjonalne albo nawet oczywiste, są z powodów politycznych nie do zrealizowania. Prezes Majewski, który też zdawał sobie sprawę z sytuacji, gdy sugerowałem mu opowiedzenie się za bardziej radykalnymi prorynkowymi reformami, odrzekł: „Teraz tego nie da się przeprowadzić, bo nad Sejmem wciąż krąży duch Popiełuszki”.

CHUDZIŃSKI: Pan się nieco zachnął, kiedy pytałem o sytuację polityczną lat 70-80., a przecież to wtedy był Grudzień, Radom, Solidarność i stan wojenny – bo byłem ciekaw, jak Pan na te wydarzenia reagował?

KOŁODKO: Zasadniczo jestem ekonomistą. Moja misja to zrozumieć, co i dlaczego w szeroko rozumianej sferze gospodarki się dzieje, i co i jak robić, aby działo się lepiej. Dla ludzi. Oczywiście, mocno przeżywałem tamte wydarzenia, ale zawsze orientowałem się do przodu, ku przyszłości. To, co działo się później – albo, może lepiej, co *pro publico bono* dziać się powinno –

było dla mnie ważniejsze. Coraz więcej rozumiałem i wiedziałem, stałem więc wobec wyzwania, jak to wykorzystać dla dobra sprawy. I dziś, gdy patrzę na świat współczesny, widzę, że dzieją się rzeczy paskudne, a my spokojnie o tym rozmawiamy. Nie przeciwstawiamy się dostatecznie zdecydowanie niszczeniu środowiska naturalnego, przegrzewaniu klimatu, tolerowaniu nędzy i ubóstwa w sytuacji, gdy są ludzie, którzy nie wiedzą, co robić ze swoimi miliardami, niewiele robimy, by odwrócić tendencję do narastania nierówności dochodowych i majątkowych, a to becзки prochu, na których siedzi ludzkość. Polacy też. Bez dobrej, użytecznej społecznie teorii ekonomii nie damy rady sprostać piętrzącym się wyzwaniom. Wrzucaniu swego własnego kamyczka do tego ogródka warto poświęcić życie. I to właśnie robię.

Długo „robiłem swoje”, zajmując się realnym socjalizmem. Tym istniejącym, a nie tym opisywanym w apologetycznej literaturze pseudonaukowej. Jego analizy doprowadziły mnie do zajęcia się międzynarodowymi stosunkami gospodarczymi, krajami rozwijającymi się albo cyklami wzrostu w wysoko rozwiniętym kapitalizmie. Ta szeroka konfrontacja pogłębianej nieustannie wiedzy teoretycznej z coraz bogatszym postrzeganiem tego, co się dzieło w realu, uzmysławianie sobie, jak te dwa byty się rozjeżdżały, stawało się inspirujące. Bardziej mnie to zawsze zaciekało jako przedmiot naukowych dociekań niż jako powód politycznych irytacji. Dodam, że jest to coraz bardziej frapujące, bo od czasu pamiętnego pierwszego przekroczenia polskiej granicy w roku 1973 wędruję po tym świecie nieustannie. Właśnie zwiedziłem już 168 kraj, a na początku roku jeszcze kawałek Antarktydy. To prowokuje do porównań, a komparatystyka to jeden z trzonów mego podejścia do ekonomii.

RATKOWSKI: Oto klerk!

KOŁODKO: Jeśli ktokolwiek twierdzi, a słyszałem o wypowiedziach koleśków z czasów studiów, że przy wódce widziałem siebie w składzie Biura Politycznego, najwyższej władzy PZPR, to miało to taką samą wagę, jakbym Panom teraz na trzeźwo powiedział, że po Franciszku chcę zostać papieżem. Moje polityczne ambicje nigdy nie sięgały ministra, a na uczelni nawet dziekana, choć przez pewien czas byłem prodziekanem, bo wskazali mnie studenci na tę funkcję jako swego ulubionego wykładowcę. Broniłem się rękami i nogami, ale zostałem skutecznie wrobiony. Zawsze za to – i zostało mi to na zawsze – miałem ambicję, aby rozumieć i wiedzieć coraz więcej.

CHUDZIŃSKI: Czy był Pan członkiem Solidarności?

KOŁODKO: Do Solidarności nie wstąpiłem i nigdy tego nie żałowałem. Dla mnie to był przede wszystkim ruch populistyczny, a ja populistą nigdy nie byłem. Jestem wręcz wrogiem populizmu i dlatego populiści odpłacają mi się tym samym. O tym można by mówić wiele...

W 1985 roku wyjechałem na roczne stypendium Fulbrighta do USA, a kiedy wróciłem, prezesem NBP był już profesor Władysław Baka. Na uczelni byłem już docentem, co dziś jest równoznaczne z uczelnianym profesorem, i zastanawiałem się, czy kontynuować współpracę z NBP, a przecież poważnie traktowałem rolę doradcy, choćby na półetatu, ale za to na pełen

gwizdek. Napisałem dla prezesa kilka materiałów, ten je zauważył i tak znalazłem się w elitarniej grupie nazywanej „bakowcami”, w odróżnieniu od reszty „bankowców”. Prof. Baka zainicjował wtedy *Program umacniania pieniądza*, ja zaś sugerowałem, by pójść zdecydowanie dalej, by był to *Program umacniania roli pieniądza*, a więc w istocie urynkowienia gospodarki. Usłyszałem wtedy, podczas jednej z polemik *tête-à-tête*, że za wcześniej, bo „atrament na planie pięcioletnim jeszcze nie wysechl”. Znowu okazywało się, że wiele z tego, co moim (i nie tylko) zdaniem było konieczne, nie było możliwe.

Na bariery polityczne nakładały się wątpliwości i kontrowersje ekonomiczne. Pamiętam – to chyba była jesień 1987 r., tuż po referendum na temat drugiego etapu reformy gospodarczej – zebranie w sali świetlikowej Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Na to spotkanie generał Jaruzelski zaprosił paru wybitnych ekonomistów. Był tam oczywiście wicepremier i szef Komisji Planowania, prof. Zdzisław Sadowski, był Mieczysław Rakowski. Do żadnych sensownych rozstrzygnięć nie doszło, bo – jak stwierdził Jaruzelski – naszymi, czyli ekonomistów radami piekło jest wybrukowane. Miał rację. Teraz też.

RATKOWSKI: Był też potworny opór materii. Odbywałem wtedy obowiązkowe trzy miesiące służby wojskowej i referowałem grupie oficerów w jednostce założenia reformy Rakowskiego. Mówiłem wprost, że to ostatnia szansa i jeśli się nie uda, to źle się to skończy. Reakcją był zgodny rechot.

KOŁODKO: Pod koniec 1987 roku profesor Baka poprosił mnie, abym w NBP założył Instytut Bankowości i Pieniądza. Przejąłem się tym bardzo, podjąłem różne próby i rozmowy, ale wielu ekonomistów, mocno związanych z Solidarnością, odmówiło. Udało się wszak zgromadzić grono świetnych młodych ekonomistów i powstał nie instytut, lecz Zakład Naukowo-Badawczy Bankowości i Pieniądza. Wkrótce znów nastąpiła zmiana po drugiej stronie Świętokrzyskiej i ministrem finansów w rządzie Rakowskiego został mój kolega ze studiów, Andrzej Wróblewski. Zaproponował mi objęcie Instytutu Finansów, więc po rocznym dyrektowaniu w banku centralnym zostałem dyrektorem IF. Pięć tygodni później zaczyna się Okrągły Stół, przy którym znów mnie było widać i słysać. Zostałem tam zaproszony przez profesora Bakę – współprowadzącego wraz z profesorem Witoldem Trzeciakowskim sekcji ekonomicznej obrad – ale pytany przez dziennikarzy, po której stronie siedzę, zawsze mówiłem, że stół jest okrągły. Byłem formalnie po stronie rządowej, co nie wykluczało w niektórych sprawach doskonałej współpracy, niekiedy wręcz współdziałania z pragmatycznymi ludźmi ze strony solidarnościowej, na przykład z profesorem Jerzym Mujzelem.

SEKOWSKI: I stąd już tylko krok do dziś tak szeroko opisywanych wydarzeń, jakby je nazwać... „pookrągłostołowych”?

KOŁODKO: Kiedy analizowałem nasze problemy, to wskazywałem, że często mają one przyczyny subiektywne i wynikają z konkretnych błędów polityki gospodarczej. Musiał więc nastąpić taki moment, że powiedzieli: skoro Kołodko jesteś taki mądry, to rób! Dwukrotnie odmówiłem zostania ministrem. Po wyborach 4 czerwca misję utworzenia rządu powierzo-

no generałowi Czesławowi Kiszczakowi i w sierpniu 1989 roku zaproponował mi funkcję ministra finansów. W jego imieniu rozmawiał ze mną wicepremier Ireneusz Sekuła. Minutę trwała odmowa, a 59 minut rozmawialiśmy jak wicepremier do spraw gospodarczych z profesorem ekonomii. Wiedziałem, że w tamtych realiach politycznych moje pomysły co do programu gospodarczego nie miały najmniejszych szans realizacji.

Trzy dni później wsiadłem do samolotu i jako dyrektor Instytutu Finansów, członek oficjalnej delegacji Ministerstwa Finansów, poleciałem do Chin. Po raz pierwszy w życiu. To było wkrótce po wydarzeniach na placu Tiananmen; zupełnie inny kraj niż teraz. Sześciem czteroosobowej delegacji był Wincenty Lewandowski, sekretarz stanu, przewodniczący Państwowej Komisji Cen, polityk PAX-u, a naszym gospodarzem był chiński minister do spraw cen. Z jednym z jego zastępców część delegacji poszła w Pekinie do jakiejś podłej knajpy. Pijemy ciepłą wódkę, a tam w podwieszonym pod sufitem telewizorze Tadeusz Mazowiecki, z marynarką na palcu, ociera pot z twarzy. Powierzono mu misję utworzenia rządu. To wtedy padł tzw. komunizm. Tzw., bo przecież żadnego komunizmu w Polsce nie było. Ja nadal miałem co robić. W nauce, bo tam było moje miejsce, choć wciąż dość blisko polityki. W przenośni i dosłownie, bo gabinet dyrektora Instytutu Finansów był na I piętrze ministerstwa, tuż obok gabinetu ministra.

RATKOWSKI: I przychodzi pora na plan Balcerowicza. Może nie był to plan, tylko po prostu zwykły biologiczny odruch wobec grozy inflacji?

KOŁODKO: To był plan. W planie wszakże zawsze bardzo dużo zależy od tego, jak sformułowane są cele i jakie środki mają prowadzić do ich osiągnięcia. W tym przypadku doszło do mylenia środków polityki z jej celami. To była nie tylko zła koncepcja, lecz w dodatku została ona źle zrealizowana, a więc podwójny błąd. Jej zwolennicy powiadają, że chodziło o nieodwołalne pchnięcie gospodarki w stronę rynku, a to przecież wymagało radykalnego wyeliminowania syndromu, który nazwałem w literaturze anglosaskiej *shortageflation*, czyli inflacją zasobowo-cenową – schorzeniem, które przejawiało się i we wzroście cen, i w niedoborach, czyli brakach podażyowych, czego nie można było tolerować. Bez mała wszystko było coraz droższe wskutek inflacji cenowej (otwartej) i zarazem wielu towarów nie sposób było kupić w wyniku inflacji zasobowej (tłumionej). Otóż bezsprzecznie należało wyrwać inflację zasobowo-cenową, *shortageflation*, z jej systemowymi korzeniami, ale przecież można było to zrobić dużo lepiej, z mniejszymi kosztami społecznymi i większymi efektami gospodarczymi, co przecież proponowałem. I nie tylko ja, bo też chociażby profesorowie Tadeusz Kowalik, Zdzisław Sadowski czy Leon Podkaminer.

To fakt, że stopa inflacji zaczęła spadać, choć zdecydowanie wolniej niż to zapowiadano. Nie przybyło towarów w sklepach, bo tych było zdecydowanie mniej wskutek towarzyszącej „szokowej terapii” recesji, ale na jeszcze większą skalę ubyło pieniędzy w kieszeniach. Koszty tej operacji były nadmiernie wysokie, a fakt, że w Rosji i na Ukrainie były jeszcze wyższe nie wynika z tego, iż mieliśmy taki znakomity „plan”, lecz z tego, że z jednej strony w innych krajach popełniono jeszcze więcej błędów, z drugiej zaś Pol-

ska (wraz z Węgry) była lepiej niż ktokolwiek inny przygotowana do tak radykalnych zmian ustrojowych – w rezultacie rynkowych reform podejmowanych w latach 80. Ten aspekt wielkiej zmiany wciąż dzisiaj jest niedoceniany.

CHUDZIŃSKI: Najwięcej determinacji na tym polu wykazał rząd Rakowskiego i minister Wilczek?

KOŁODKO: Tak, ale nie tylko oni. Wypadałoby wskazać jeszcze kilku innych, choćby wspomnianych już profesorów Bakę i Sadowskiego czy też ostatniego ministra finansów w Polsce Ludowej, Andrzeja Wróblewskiego. Zostawił on i jego ekipa w swoich szufladach sporo, z czego korzystali następcy w zgoła odmiennych już warunkach politycznych, kiedy to niemożliwe stało się możliwe. Program pierwszego rządu Solidarności był przy tym wszystkim w dużej mierze motywowany ideologicznie i politycznie, a nie pragmatycznie i ekonomicznie, bo chodziło o wyrugowanie wszystkiego, co się łączyło z socjalizmem, który oni z uporem nazywają komunizmem. Tymczasem, jak dowodzi profesor Andrzej Walicki, a ja się z nim w pełni zgadzam, realny socjalizm nie miał nic wspólnego z komunizmem, bo ten, jeśli w ogóle, to co najwyżej był realizowany u nas w wersji stalinowskiej i skończył się w październiku 1956 roku. Wtedy poszedłem do pierwszej klasy szkoły podstawowej w Tczewie, gdzie na korytarzu zdjęto plansze obrazujące mały schodzący z drzew i powieszono krzyż oraz wprowadzono lekcje religii. Później wracano do niektórych starych praktyk, ale to nie był żaden komunizm. Dodam, że już po dwu latach w mojej szkole krzyże zniknęły, a plansze z naszymi poprzednikami zajęły swoje wcześniejsze miejsce.

CHUDZIŃSKI: Wracając do planu Balcerowicza. Zastosowano terapię szokową!

KOŁODKO: „Terapia szokowa” to kolejne oszustwo polegające na połączeniu dwóch słów – szoku z terapią. To przypomina taką parę słów jak „szczęśliwe małżeństwo”. Wypowiadając te dwa słowa razem – bo to definicja – imputuje się, że jak „małżeństwo”, to od razu „szczęśliwe”. Bynajmniej; znam niejedno, któremu daleko do tego. „Szokowa terapia”, a więc gdy „szok”, to i „terapia”. Bynajmniej. Termin „terapia” ze swej istoty sugeruje skuteczność, tak więc „szokowa terapia” miała niby gwarantować osiągnięcie założonego celu. Tymczasem zbyt wiele było niepotrzebnych, możliwych do uniknięcia i kosztownych szoków, za mało natomiast możliwej do osiągnięcia terapii. Program liberalizacji był zbyt radykalny, a program stabilizacji został przestrelony. Mówiąc popularnym językiem – zdecydowanie przedobrzone. W 1991 roku na organizowanym przez Amerykanów seminarium w Salzburgu mówilem o polityce stabilizacyjnej. Był tam również Duszka Trziszka, autor późniejszej czeskiej „kuponówki”, tamtejszego modelu prywatyzacji i rozdawnictwa. Słuchał mojego wykładu i powiada w pewnym momencie: Profesor Kołodko mówi o stabilizacji, efektywności i konkurencyjności, a to wszystko są sprawy drugorzędne. Najważniejsze to zniszczyć własność państwową! Wyrwać ją z korzeniami, bo to fundament komunizmu, który trzeba zetrzeć z powierzchni ziemi!

Jeśli tak jest sformułowany cel, to jesteście w zupełnie innej rzeczywistości. Przypomniał te czasy Marek Pol na niedawnej konferencji w Akademii Leona

Koźmińskiego, której jestem wykładowcą. Na samym początku lat 90. posunięto się do tego, że zlikwidowano cła importowe, co położyło masę polskich przedsiębiorstw. Kiedy Pol spytał jednego z ówczesnych ministrów, skąd taki ruch, usłyszał w odpowiedzi, że przedsiębiorstwa nie padały i trzeba było ten proces przyspieszyć... Oto przykład motywacji ideologicznej w gospodarce.

Możemy i powinniśmy spokojnie dyskutować, jak ekonomista z ekonomistą, które posunięcia były nietrafione albo źle pomyślane, nadmiernie radykalne albo za wcześnie lub za późno wprowadzone. Na tym polega profesjonalna dyskusja, która w pewnym sensie ciągle trwa. Wcześniej wszak, w czasach forsowanego szoku bez terapii, jak to określam, takiej rzetelnej debaty brakowało. Wybitny brytyjski, ale zamerykanizowany ekonomista John Williamson jest autorem pojęcia *Washington Consensus*, które usiłowało trzy dekady temu odpowiedzieć na pytanie, jak przeprowadzić tzw. dostosowanie makroekonomiczne, czyli jak liberalizować i równocześnie stabilizować gospodarkę. Ta koncepcja została wszakże sformułowana w końcu lat 80. W odpowiedzi na kryzys strukturalny w zadłużonych ponad miarę, niesterowalnych i oligarchicznych gospodarkach Ameryki Południowej. I wtedy pojawiliśmy się my, ze swoją posocjalistyczną czy – jak teraz niektórzy ją nazywają – pokomunistyczną transformacją. Zachodni eksperci byli totalnie zaskoczeni upadkiem najpierw realnego socjalizmu w Polsce i innych krajach Europy Środkowo-Wschodniej, a potem także rozkładem ZSRR i wszystko, co mieli do powiedzenia w tej sprawie, to był właśnie *Washington Consensus*, który kompletnie nie pasował do naszej sytuacji. Ale w Polsce mieli swoich zwolenników, tych naszych nadwiślańskich neoliberalistów. I to ich trzeba winić za błędy w myśleniu i działaniu, a nie ich zachodnich doradców i sponsorów.

SEKOWSKI: Mieli też Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Bank Światowy i Departament Stanu USA.

KOŁODKO: Tym wszystkim rządził Departament Stanu, wiem coś o tym, bo byłem kilkakrotnie w MFW, dwakroć na początku dekady lat 90. i tyleż w jej końcu, i widziałem to od środka. Po jednym z moich wystąpień w Waszyngtonie, profesor Williamson napisał do mnie ciekawy list, którego fragmenty warto zacytować. Oto pisze on m. in.: »Byłem szczególnie zadowolony, że podjął Pan próbę alternatywnego podejścia wobec tak zwanego Big Bangu (czyli „terapii szokowej”) w postaci bardziej ostrożnej realizacji poszczególnych elementów polityki, a nie generalnego spowolnienia „gradualizmu”«. Williamson dostrzega, że my nie hamowaliśmy reform, co zarzucano SLD, tylko lepiej je zaprogramowaliśmy i na tym polegała zasadnicza różnica. Strategia dla Polski opierała się na ekonomicznej teorii społecznej gospodarki rynkowej, a tzw. plan Balcerowicza na doktrynie neoliberalnej. To zasadnicze różnice.

SEKOWSKI: Pan był od początku przeciwnikiem tego planu i implementacji neoliberalnych wzorów sprawdzanych w Ameryce Łacińskiej oraz próby ich topornego przeniesienia na grunt polski.

KOŁODKO: Jak pisałem wtedy w „Życiu Gospodarczym”, rządy Solidarności robiły to z topornością drwala, a nie precyzją chirurga. Klasycznym przykładem

było przestrzelenie programu stabilizacyjnego czy sposób potraktowania państwowych gospodarstw rolnych. Przecież zamiast niszczyć, można było PGR-y przekształcać w spółki pracownicze czy prywatyzować jako wielkotowarowe, kapitalistyczne przedsiębiorstwa rolne, przy okazji niektóre z nich wynajmując na 99 lat Arabii Saudyjskiej czy Katarowi, co uczyniły niektóre inne kraje transformacji. Tymczasem dewastując, zlikwidowano je z powodów ideologicznych, bo stanowiły oparcie dla „komunizmu”.

RATKOWSKI: Cóż, teraz też przedsiębiorstwa państwowe stają się oparciem dla PiS, partii, która ma monopolistyczne ambicje?

KOŁODKO: Skądże znowu! Wiele o tym niektórzy mówią, ale więcej w tym polityki czy, znowu, ideologicznego zacietrzewienia niż prawdy. Renacjonalizacja bynajmniej nam nie grozi. Wróćmy jednak do listu Williamsona. Dalej zauważa on: „Co do wątków dotyczących protekcjonizmu i prywatyzacji, zgadzam się z panem po fakcie, i zaiste mógłbym się również zgodzić naonczas. Ale z całą szczerością muszę wyznać, że nadal sądzę, iż gdybym był na miejscu Balcerowicza, być może nie mógłbym skonstruować pakietu przesądającego kierunek reform. Z perspektywy czasu myślę, że był on wtedy Polsce potrzebny i położył fundament pod pański, zwieńczony sukcesem okres pracy z rządu. Być może trzeba było nieco przestrzelić, aby pańskim partnerom politycznym ułatwić emocjonalne pogodzenie się z faktem, że właśnie świat się zmienia, a może nawet umożliwić im skorygowanie oczekiwań i w rezultacie pozyskać dla nowego modelu? Przypomina mi to sytuację mojego kraju. Czuje się dużo lepiej z Tony Blairem niż z panią Thatcher na stanowisku premiera, jednak nie jestem pewien, że dziś moglibyśmy mieć jego, gdyby jej wcześniej nie było”.

SEKOWSKI: Czy Pan też tak uważa?

KOŁODKO: Oczywiście nie byłoby mojej polityki, nie byłoby Strategii dla Polski w takim kształcie, w jakim została ona przygotowana i wdrożona, gdyby nie Balcerowicz i jego linia polityczna. Gdyby – naprawiając sporo, bo niewątpliwą zasługą jest wyprowadzenie gospodarki z syndromu *shortageflation* i skierowanie jej nieodwracalnie na tory rynkowe – zarazem nie zepsuł tak wiele w polskiej gospodarce, to zapewne bym do polityki nie trafił, podobnie jak Blair nie miałby czego naprawiać, gdyby wcześniej tak wiele nie naknociła Margaret Thatcher swoją neoliberalną polityką, wobec której ponoć nie było alternatywy; to jej słynne TINA, *There is no alternative*. Otóż była wtedy i teraz też jest.

Krytykowałem plan Balcerowicza od początku i byłem z tego powodu sekowany. Jako dyrektor Instytutu Finansów miałem „gorącą linię” telefoniczną z ministrem finansów. Gdy został nim Leszek Balcerowicz wciąż jeszcze zapraszano mnie na posiedzenia kolegium ministerstwa. To oczywiste że i na tamtym forum nie ukrywałem swoich poglądów. Wkrótce więc odcięto mi „gorącą linię”, przestano mnie zapraszać i próbowano nawet zlikwidować instytut, odcinając go od elementarnego finansowania! Metodą na to była rządowa „kategoryzacja” państwowych instytutów naukowych i musiałem ostro walczyć o przetrwanie naszej placówki, którą – choć bezsprzecznie była jedną z najlepszych w kraju – próbowano spacyfikować. To była oczywiście



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

szkana za naszą krytykę – przecież twórczą i konstruktywną.

Raz jeszcze – nie przeceniam roli zagranicy winiąc za błędy i niedociągnięcia polskiej transformacji, zwłaszcza początkowego „szoku bez terapii”, rodzimych polityków gospodarczych i ich doradców. Ale roli teje zagranicy jednak nie należy bagatelizować. Swoje znaczyli i zrobili. Oto jeszcze przed powołaniem rządu Tadeusza Mazowieckiego przyjechała do Polski ekipa gospodarcza, którą inspirował i finansował George Soros. Znaleźli się w jej składzie m.in. Jeffrey Sachs, do dziś przegłaśniany, David Lipton, ostatnio wiceszef MFW oraz kilku zachodnich ekonomistów polskiego pochodzenia. To był sprytny pomysł Sorosa, który również stosowano w innych krajach, choćby w Słowenii. W tym gronie byli Stanisław Wellisz z Columbia University, Roman Frydman z New York University, Stanisław Gomułka z London School of Economics, oni znali polskie realia. Soros wcześniej określił swój „plan” transformacji. Jego pierwsza część to była właśnie ta „szokowa terapia”, a druga – forsowana już po tej niby udanej liberalizacji i stabilizacji – to szybka prywatyzacja, zakładano bowiem, że przy względnie zrównoważonym rynku wystarczy przesunąć własność środków produkcji z rąk państwowych do prywatnych, aby na trwałe podnieść efektywność gospodarowania. Otóż nie wystarczy, bo dobra gospodarka rynkowa wymaga demonopolizacji i rozwiniętej konkurencyjności oraz stosownej obudowy instytucjonalnej, tę zaś tworzy się długo i mozolnie, a nie krótko i wstrząsowo.

Jest książka na temat polskiej transformacji, zwłaszcza przełomowych lat 1988-1990 – bardzo obszerna, dwutomowa, opublikowana przez Wydawnictwo Scholar – którą przygotowali do druku Stanisław Gomułka z Tadeuszem Kowalikiem. Wydrukowano w niej m.in. listy i raporty, jakie przesyłał do Sorosa Gomułka, raportując mu, jak realizowany jest jego *Plan dla Polski*. Krótko mówiąc, to nie była od początku do końca oryginalna, nadwiślańska koncepcja i nie była to też koncepcja w pełni akceptowana przez Międzynarow-

dowy Fundusz Walutowy, o czym mogłem się przekonać, uczestnicząc w kilku dyskusjach, w których MFW usiłował powstrzymać ówczesnego wicepremiera-ministra finansów przed zbyt radykalnymi działaniami. Uważano, że Balcerowicz ze swoją ekipą przesadzają, że reformy można było przeprowadzić mniej brutalnie. I słusznie. Nie posłuchano tych przestróg, więc nic dziwnego, że potem zaczęły się liczne protesty i strajki, ale wszechpotężna wówczas Solidarność taki kierunek reform osłaniała i dziś próbuje się nadal ludziom wmawiać, że „nie było alternatywy”.

RATKOWSKI: Jak dziś przy okazji strajku naczyli!

KOŁODKO: Wtedy na dużo większą skalę. Oczywiście, Mazowiecki popełnił błąd, startując w wyborach prezydenckich w 1990 roku przeciw Lechowi Wałęsie. To był początek „wojny na górze”, która toczy się do tej pory z dewastującymi dla polskiej tkanki politycznej konsekwencjami. Nagle ni stąd, ni zowąd pojawił się Stan Tymiński, z czego nie wyciągnięto właściwych wniosków. Przecież uzyskanie przez Tymińskiego większej liczby głosów niż dostał Mazowiecki oznaczało odrzucenie w demokratycznym procesie owego planu Balcerowicza. Mimo to kontynuował go przez następny rok rząd Jana Krzysztofa Bieleckiego. Niedługo potem, dzięki funkcjonującej u nas demokracji, czego nie było na Ukrainie czy w Rosji, wygrała formacja lewicowo-centrowa, która skorygowała politykę gospodarczą.

CHUDZINSKI: Na dwa lata przed śmiercią Kuroń powiedział nam, w podobnej rozmowie, że niczego bardziej nie żałuje jak tego, że swoim nazwiskiem podżyrował plan Balcerowicza, a zwłaszcza „złodziejską prywatyzację”. Kilka lat później prezydent Kwaśniewski, też w rozmowie *Trzech na jednego* usprawiedliwiał błędy Balcerowicza, a także lewicy, argumentując, że to w końcu był wyjątkowy eksperyment. Nikt wcześniej nie szedł od „realnego socjalizmu” do „kapitalizmu”.

KOŁODKO: Niejeden kiedyś lewicowy polityk przesunął się później do środka, a niektórzy wręcz przeszli na pozycje neoliberalne. Tak było im łatwiej, to się im opłaca... A co mówili wtedy, gdy Sojusz Lewicy Demokratycznej, SLD, dochodził do władzy? Kongres Liberalno-Demokratyczny, skąd wywodzili się premier Bielecki i dziś ulubiony przez niektórych Donald Tusk, nazywano „Kongresem Lewych Dochodów”. Włodzimierz Cimoszewicz wtedy wraz z innymi pokazywał czyste ręce, sugerując, że przeciwnicy polityczni mieli brudne. Nie mówili wprawdzie „wystarczy nie kraść”, ale sens był podobny. SLD doszedł do władzy w roku 1993 na totalnej krytyce polityki początku lat 90., ale nie miał dobrego programu społeczno-gospodarczego. Lewica wygrała wybory, bo naród miał dość bezhołwia Solidarności, która go okłamała i nie wywiązała się z obietnic składanych przy Okrągłym Stole i przed wyborami.

We wrześniu 1993 roku byłem w USA, w Charleston w stanie Georgia, nad Atlantykiem. W tej samej mieścinie, w której zrodził się znany taniec w latach 20. Byliśmy właśnie po konferencji i słuchaliśmy radia, które Marek Dąbrowski tam kupił. Gospodarzem był Kazik Poznański, który wyjechał w latach 80. na stypendium do USA, pozostał tam do tej pory – mieszka

w Seattle. Poszliśmy nad morze się wykąpać, fale nas kotływały, a tu nagle dociera wiadomość, że SLD wygrał wybory. Poznański mówi: – Będziesz ministrem finansów! Wychodzimy z wody, idziemy do jakiejś restauracji, ja – wówczas jeszcze mięsożerca – wziąłem jakiegoś homara... Posadzili mnie na honorowym miejscu i widzę, że wszyscy, łącznie z profesorem Mujzelem, który też tam był, nie mają wątpliwości, że będę ministrem finansów. Wsiadamy do samolotu i lecąc przez Nowy Jork, lądujemy w Warszawie. Następnego dnia o dziewiątej rano przychodzi Marek Borowski i „w imieniu premiera Kwaśniewskiego” zaproponował mi stanowisko wicepremiera i ministra finansów. – Masz przecież wszystko w swoim komputerze!, dodał.

Tymczasem okazało się, że Waldemar Pawlak uwarunkował wejście PSL do koalicji z SLD tym, iż to on będzie premierem. Od tego czasu Kwaśniewski i Borowski nie znoszą Pawlaka; czasami nie potrafią nawet tych uczuć maskować, a powinni. Oglądałem wówczas jeszcze to coś, co się nazywa telewizją i zobaczyłem Pawlaka wchodzącego do Urzędu Rady Ministrów z moją książką *Kwadratura pięciokąta* pod pachą. Przeczytał ją, dyskutował ze mną merytorycznie na temat przedstawionych w niej koncepcji. Upraszczając, chodziło o zintegrowane podejście do ścieżki celów w polityce społeczno-gospodarczej, co ilustrował rzeczony pięciokąt. Jego istota polegała na połączeniu pięciu wierzchołków: stopy wzrostu PKB, stopy bezrobocia, stopy inflacji, salda budżetu państwa i salda obrotów zagranicznych. W książce pokazywałem związki między wszystkim tymi kwestiami, nie tak jak ci, którzy nie oglądając się na koszty w sferze realnej i społeczne skutki walczyli wyłącznie z inflacją, ale i nie tak jak ci, którzy wojują o najwyższe tempo wzrostu gospodarczego, a reszta się nie liczy.

Desygnowanemu już wtedy na premiera Pawlakowi to się podobało – zaproponował mi stanowisko wicepremiera i ministra finansów. Przyjęcie funkcji uzależniłem jednak do tego, czy moje pomysły będą realizowane. Na prośbę premiera napisałem 44 tezy. Są *in extenso* wydrukowane w książce *Strategia dla Polski*. Doradcą Pawlaka był wówczas profesor Franciszek Mleczko, socjolog mający do polityki i gospodarki oryginalne podejście typu gry wojenne, a ja podchodziłem do tego merytorycznie, uważając, że są problemy gospodarcze, które trzeba rozwiązywać.

RATKOWSKI: Takie podejście ma dziś PiS!

KOŁODKO: Jeśli tak, to z czasem przegra tę „wojnę”, bo już inflacja rośnie coraz bardziej, a produkcja coraz wolniej i ludzie coraz częściej wychodzą w pierwz siebie, a potem na ulicę. Cofając się zaś raz jeszcze o ćwierć wieku, ostatecznie stanęło na tym, że mam być ministrem finansów, a wicepremierem bez teki będzie Marek Borowski. SLD zorientował się, że nie będę realizował ich linii politycznej, ani żadnej innej partii, bo nie jestem chłopcem na posyłki. W tej sytuacji powiedziałem premierowi Pawlakowi, że dziękuję. Szlag trafił Cimoszewicza, który poleciał do Kwaśniewskiego z oświadczeniem, że „w ogóle tej koalicji nie podpiszemy”, a ja po prostu wyszedłem z Sejmu, bo w jego salach rozgrywał się ten dramat...

RATKOWSKI: A właściwie dlaczego?

KOŁODKO: Bo oni chcieli mnie traktować tak jak premier Morawiecki traktował minister Czerwińską. Ona miała pilnować, żeby się słupki zgadzały, a oni będą robić politykę. Chwileczkę! To ja będę robił politykę i to tak, jak ja ją rozumiem – jako akt twórczy zmiany rzeczywistości społeczno-gospodarczej na lepszą, a nie tak jak wy to rozumiecie – kto, kogo i za ile!

Miałem już wtedy zaplanowany wyjazd na ciekawe badania do Instytutu Polityki Fiskalnej i Monetarnej w Tokio. Szybko więc zrezygnowałem i Marek Borowski dymisję ze stanowiska dyrektora Instytutu Finansów podpisał mi z lubością, bo to on dostał obok funkcji wicepremiera tekę ministra finansów. Nieco wcześniej zupełnie inaczej zachował się profesor Jerzy Osiatyński, minister finansów w rządzie Hanny Suchockiej, kiedy chciałem ustąpić z kierownictwa Instytutu Finansów. Powiedział: – O nie, Grzesiu, ja tego nie podpiszę, bo będą mówić, że cię wylałem! A to był przecież solidarnościowy minister, a ja byłem kojarzony z lewicą, choć niekoniecznie z SLD.

No i poleciałem do Japonii, ale oto pewnego wieczoru dzwoni premier Pawlak, że jednak będę wicepremierem i ministrem finansów. A co się stało? Zwolniliśmy Borowskiego! Powiedziałem, że prowadzę poważne badania i nie zamierzam ich przerywać, więc zaproponowałem, by zwrócili się do kogoś innego, może profesora Dariusza Rosatiego. Wkrótce z Tokio poleciałem na wykłady do Los Angeles i tam, telefoniczne od kolegi z Banku Światowego, dowiedziałem się, że prezydenta Wałęsa utracił Rosatiego. – Powiedział: – Nam ten Włoch nie jest potrzebny! Cóż, robiłem swoje, poleciałem do Waszyngtonu, potem do Londynu, gdzie miałem wykład w London School of Economics, i wreszcie dotarłem do Warszawy. Premier Pawlak znowu dzwoni, ale właśnie wyjeżdżałem do Rzymu, gdzie otrzymałem na pół roku stypendium na uniwersytecie La Sapienza. Jednak tak na mnie naciskano – SLD nie mniej – że ostatecznie się zgodziłem, wróciłem z Rzymu po kilku dniach i prezydent Wałęsa wręczał mi nominację na wicepremiera i ministra finansów – z wyraźną radością, bo jemu z kolei powiedziano, „że ten Kołodko da Pawlakowi popalić!” I tak w kwietniu, dwadzieścia pięć lat temu, zostałem wicepremierem-ministrem finansów, mając już coś do powiedzenia, mając przemyślenia i będąc do tej funkcji poniekąd przygotowany...

Zaakceptowano moje warunki programowe i kadrowe. Przyprowadziłem do rządu swoją ekipę – kilkunastu ludzi, którzy dzisiaj są profesorami i doktorami habilitowanym. Właśnie opublikowana przez PWN książka pt. *Strategia dla Polski. Ćwierć wieku później*, 18 autorów, 17 z nich to doktorzy habilitowani i profesorowie, którzy sprawowali ważne stanowiska, głównie ministerialne i wiceministerialne, w moich ekipach gospodarczych w latach 1994-97 i później – 2002-03. Autorem jednego rozdziału jest ponadto Marek Pol, znakomity praktyk polityki gospodarczej, ze świetnym zrozumieniem aspektów mikroekonomicznych. Choć to nie ja ściągałem go do polityki, to wtedy szybko weszliśmy na podobne częstotliwości i dlatego też napisał rozdział. Profesora Marka Belki wśród współautorów nie ma, ale i jego do polityki ściągałem.

CHUDZIŃSKI: Jego też?

KOŁODKO: Kiedyś prezydent Kwaśniewski poprosił, abym znalazł kogoś nadającego się na dobrego doradcę ekonomicznego. Zaproponowałem Belkę. Człowiek spokojny, poważny ekonomista, wydawało się bez żadnych ambicji politycznych, a to u doradców ważna cecha. Boże, jak się sprawy mogą inaczej potoczyć! Mało kto wykazał się tak wielkimi ambicjami politycznymi jak Belka. No i zrealizował je, doszedł do najważniejszych funkcji oraz stanowisk i ma ich więcej niż niektórzy razem wzięci. Profesorowie Jerzy Hausner i Danuta Hübner to są też ludzie, z którymi robiliśmy *Strategię dla Polski*. Nasz polityczny impet – ktoś nawet nazwał to puczem, przewrotem pałacowym w gmachu Rady Ministrów, a w „Rzeczpospolitej” pojawił się artykuł pt. *Wicerząd wicepremiera*. I dlatego następnym razem, gdy Leszek Miller chciał, żebym został u niego wicepremierem i ministrem finansów (jesteśmy w roku 2001) i poszedł z tym do prezydenta Kwaśniewskiego, to usłyszał: –A po co wam Kołodko? Koalicja dwóch (czyli SLD i PSL) wystarczy, a trzecia siła jest zbędna.

CHUDZIŃSKI: **Kołodko jako „trzecia siła”?**

KOŁODKO: No, na pewno nie spolegliwy polityk partyjny. Premier Miller sięgnął więc ponownie po Marka Belkę, ale rzeczy szybko się potoczyły, bo po siedmiu miesiącach on z kolei podał się do dymisji i Miller wrócił ze swoją propozycją.

CHUDZIŃSKI: **No i funkcjonuje Pan w realnej polityce na stanowiskach o których mowa, ale na czym po planie Balcerowicza polegała odmienność nowej polityki gospodarczej, którą Pan uosabiał?**

KOŁODKO: Zmierzaliśmy konsekwentnie w kierunku urynkowania gospodarki, podkreślając imperatyw nadania jej charakteru społecznego. Bardzo mocno jako ekonomista- teoretyk, ale wówczas już praktyk, podkreślałem aspekt instytucjonalny, przedtem lekceważony. Z jednej strony chcieliśmy inaczej rozłożyć koszty transformacji, zrazem je minimalizując, z drugiej natomiast też inaczej, bo sprawiedliwiej dzielić jej coraz obficiejsze pojawiające się owoce. I to nie była tylko retoryka, skoro rzecznicy grup interesów związanych z neoliberalnym nurtem, z „Gazetą Wyborczą” na czele, napadali na nas bez przerwy. Naruszyliśmy bowiem ich interesy. Neoliberalizm, najkrócej ujmując, to system i polityka gospodarcza, która poprzez określoną deregulację i manipulacje fiskalne sprzyja wzbogacaniu nielicznych kosztem większości. Linia *Strategii dla Polski* natomiast tworzyła przyczółki społecznej gospodarki rynkowej. Temu służyły nasze reformy dochodowe i fiskalne, komercjalizacja przedsiębiorstw państwowych, konsolidacja sektora bankowego, sterowane otwieranie się na zewnętrzne kontakty finansowe i handlowe. A więc robiliśmy to zasadniczo inaczej niż nasi neoliberalni koledzy.

Po paru latach spotkałem w Budapeszcie na jakiejś konferencji Jeffreya Sachsa, ten klepie mnie po ramieniu i powiada: – Greg, nie różniliśmy się tak bardzo w poglądach. O, nie!, różniliśmy się zasadniczo. Teraz też często słyszę z obu stron, że nie różniliśmy się wiele. Na dowód pokazuje się ludzi niegdyś lewicy, którzy weszli do parlamentu europejskiego z tej samej listy, co zatwardziali neoliberalowie. Cóż, różniliśmy się i – jak powiadałem w obliczu niekończących się

ataków – „raz z prawej, raz z lewej, rzadko z pozycji zdrowego rozsądku”. A ja lubię zdroworozsądkową krytykę.

SĘKOWSKI: **Ale sam Pan powiedział, że być może „trzeba było przestrzelić”? Trzeba było?**

KOŁODKO: Sytuacja była bardzo dynamiczna w latach 80.-90., a pole niepewności olbrzymie. Wielu rzeczy zapewne nie można było przewidzieć, nie mówiąc już o idealnie precyzyjnym zaplanowaniu. Mój wymóg, żeby to robić z chirurgiczną precyzją, był literacką utopią, lecz można było wprowadzać reformy zdecydowanie mniejszym kosztem społecznym. Po angielsku mówimy *overshooting*, czyli „przestrzelić”, ale i *overkilling*, a więc „zarżnąć”. Szok bez terapii miał wiele cech tego drugiego ujęcia. Gdy słyszeliśmy argument, że psu nie obcina się ogona na raty, to odpowiadaliśmy – tak, ale dlaczego od razu za szyją?...

Wielu problemów już nie musieliśmy rozwiązywać jako rządy lewicowo-centrowe, kierowane po kolei przez premierów Pawłaka, Oleksego i Cimoszewicza oraz później Millera, ale inne musieliśmy podjąć, bo wcześniej nie zostały nawet zauważone. Nie odeszliśmy od pluralizmu i rynku, ale odeszliśmy od neoliberalnej doktryny. Od poprzedników i następców różniliśmy się na wielu polach ideologii i polityki, teorii i praktyki, sposobów myślenia i działania. I – w konsekwencji – rezultatów, które uzyskiwaliśmy. W wielkim procesie wielkiej transformacji ustrojowej mamy do czynienia z dialektyką ciągłości i zmiany. Na pewno w czasie rewolucji francuskiej czy październikowej, a u nas w przełomowym roku 1989 – Okrągły Stół, wybory czerwcowe, nieudana próba powołania rządu Kiszczaka, koalicyjny rząd Mazowieckiego, plan Balcerowicza – działo się ogromnie wiele. Epokowe wydarzenia rozegrały się w ciągu 12 miesięcy! To była rewolucja, wprawdzie bezkrwawa, ale rewolucja. Po jakimś czasie władzę przejmuje inna formacja, SLD i PSL, co dowodzi zmienności, ale przecież i ciągłości, choć nikt nie potrafi dokładnie powiedzieć, czego było więcej: zmian czy ciągłości?

Kiedy na przedwiośniu '97 roku odchodziłem w wybrany przez siebie momencie z rządu, bo zrealizowałem już najważniejsze założenia *Strategii dla Polski*, a nie chciałem tkwić w polityce w okresie kampanii wyborczej, to pytano, czy wrócę do polityki? Odpowiedziałem tak, jak wtedy myślałem, że „głupi byłbym!” A jednak wróciłem... Telefon – już wtedy były komórki – od premiera Millera zaskoczył mnie też z dala od ojczyzny, bo na Maderze. Tym razem to on zaczął od tego, że mogę postawić warunki brzegowe: programowe i kadrowe. Niepodjęcie się kreowania polityki gospodarczej najważniejszego kraju Europy Środkowej w historycznym okresie przystępowania do Unii Europejskiej – to byłaby głupota! Nie mogłem takiego wyzwania nie podjąć.

CHUDZIŃSKI: **I pojawiły się dwa nowe dokumenty: „Pakiet 2000” i „Program naprawy finansów Rzeczpospolitej”.**

KOŁODKO: *Pakiet 2000* powstał wcześniej, jeszcze jako kolejny segment *Strategii dla Polski*, pokazywał kierunki reform fiskalnych i pro wzrostowego obniżania podatków przy równoczesnej konsolidacji sektora finansów publicznych. Sama zaś *Strategia dla Polski* zawierała 14 programów węzłowych i wszystkie

zostały z nawiązką zrealizowane. Ciekawostką jest to, że sam się wystawiłem na ostrzał krytyki profesjonalnej i nieprofesjonalnej, medialnej i politycznej. Każdy z programów węzłowych zawierał na końcu tzw. kryterium wykonawcze, skwantyfikowane, czyli określone ilościowo, aby można było oceniać postęp albo jego brak. Można sprawdzić, że w większości przypadków zrealizowaliśmy więcej niż ambitnie na początku zakładaliśmy. Zarzucano nam, że mieliśmy przerost ambicji, szczególnie w dziedzinie wzrostu produkcji i zmniejszania skali bezrobocia. Jednak okazało się, że szło nam nieźle, że udało się realizować wiele z tego wielowątkowego programu.

Euro 2006 z kolei to pierwsza taka próba wydużenia perspektywy polityki ekonomicznej daleko poza horyzont kadencji rządowo-parlamentarnej. Ta wiązka programowa pokazywała nowe możliwości, ale też i nowe wyzwania. Już w 1996 roku – niedługo po traktacie z Maastricht z roku 1993, w którym sformułowano wizję wspólnego pieniądza mającego wejść do obiegu do obiegu dopiero w 1999 roku – mówimy o uwarunkowaniach i perspektywach przystępowania do obszaru wspólnej waluty euro. *Euro-2006* pokazywało, jak reformować i rozwijać gospodarkę, aby być gotowym do korzystnej konwergencji walutowej po przystąpieniu do Unii Europejskiej. Wówczas zakładałem, że nastąpi to już w 2002 roku. Jako zadanie wykraczające o dziewięć lat poza ówczesną kadencję parlamentu, która kończyła się w 1997 roku, chciałem pokazać, że są pewne cele wykraczające poza ramy cyklu politycznego i powinny być realizowane w warunkach ponadpartyjnego konsensusu.

Tu jednak przejawiała się moja polityczna naiwność, bo wtedy jeszcze sądziłem, że polityka to nieco bardziej uczciwe przedsięwzięcie i jest tam trochę mniej brudu i smrodu. Naiwność przejawiałem także wtedy, gdy w czerwcu 1994 roku prezentując *Strategię dla Polski*, apelowałem do Wysokiej Izby i partii politycznych działających w trudnej sztuce demokracji, aby trzy wielkie sprawy wyjąć przed nawias walki politycznej: przebudowę wsi i rolnictwa, proces integracji europejskiej i reformę systemu zabezpieczeń społecznych. Takie kwestie można sobie, chociaż też trudno, odpolitycznić w artykule naukowym czy na konferencji akademickiej, ale nie w politycznym młynie. To były główne, bardzo kosztowne dla gospodarki pola starć politycznych przez minione 25 lat. Dzisiaj chciałbym, żeby przed nawias sporu politycznego wyjąć przynajmniej problem euroizacji i podejść do niego pragmatycznie. Tymczasem PiS to upartyjnił, uznając przy okazji siebie za obrońcę narodowej suwerenności, a wprowadzenie euro sprowadza do jej utraty i dodatkowego wzrostu cen, co jest nonsensem. Ceny mogą rosnąć wtedy, gdy zezwala na to nadmierny w stosunku do podaży strumień popytu oraz brak konkurencji rynkowej. A tak nie jest i tym bardziej nie stanie się po wprowadzeniu euro.

Co ciekawe, tak wtedy jak i teraz żadna z brylujących w polityce partii nie ma w swej nazwie słowa „partia”, tak się wszystkie brzydzą partyjniactwa, które z taką lubością uprawiają...

SEKOWSKI: Dziś nawet bardzo wielu członków koalicji europejskiej boi się dotykać tego problemu.

KOŁODKO: Jeśli faktycznie się boją, to jest to tchórzostwo, a przecież merytoryczna debata niejednokrotnie wymaga odwagi. Nie wystarczy mieć rację, trzeba mieć jeszcze odwagę opowiadać się głośno po jej stronie zwłaszcza wtedy, gdy jest to prawda niepopularna. Tak jest nie tylko w sprawie konwergencji walutowej. Podobnie tchórzostwo – chyba że głupota albo interesowność? – jest widoczne, gdy chodzi o pieniądze na zbrojenia. Wielkie marnotrawstwo, z jakim mamy do czynienia, zwiększanie wydatków na tzw. obronność. Do tego jest potrzebne m.in. nakręcanie rusofobii i straszenie społeczeństwa urojonym widmem wojny. Potem już tylko krok do politycznej akceptacji i, niestety, społecznego przyzwolenia, na zwiększanie wydatków wojskowych. Skądinąd ich *gros* idzie na zakupy amerykańskiej broni ku niekłamanej satysfakcji naszego nowego „wielkiego brata”... Rosną te wydatki zatem szybciej niż nakłady na oświatę i kulturę, ochronę zdrowia i naukę, zwiększa się ich kosztem udział wydatków wojskowych w budżecie państwa i w dochodzie narodowym. Nikt nie ma odwagi zaproponować zamrożenia wydatków na zbrojenia na obecnym i tak już bardzo wysokim poziomie prawie 50 miliardów złotych, czyli 2,1 proc. PKB, i przekazać planowany przyrost wydatków militarnych na inwestycje w kapitał ludzki, ochronę środowiska naturalnego i budownictwo infrastrukturalne.

RATKOWSKI: To powinien być podstawowy element programu wyborczego lewicy. Przecież ludzie o innych przekonaniach i tak na nią nie załóżą!

KOŁODKO: Powinien, ale niestety nie jest.

SEKOWSKI: Chciałbym jeszcze wrócić do kwestii euro. Oczywiście plusy, o których niedawno w Kuźnicy mówił np. profesor Marek Belka, to likwidacja ryzyka kursowego, zmniejszenie kosztów transakcyjnych czy obniżenie kosztu obsługi długu publicznego. A jakby Pan przekonał nas i czytelników, że nie będzie obniżenia płacy realnej w Polsce? – bo tym głównie szermują przeciwnicy euroizacji.

KOŁODKO: Cóż, dobrze, że Marek Belka posypał sobie głowę popiołem, bo jako prezes NBP był przeciwny, a mógł wiele w tej sprawie zdziałać już wtedy, gdy prezentowaliśmy argumenty, które teraz też i on przytacza. Ja od kilku lat przedstawiam głównie argumenty ekonomiczne – nie tylko tu wymienione, bo są też inne, jak przede wszystkim to, że w długim okresie, po wprowadzeniu euro, płace realne będą rosły szybciej niż w wariacie pozostawiania przy złotym, czy chociażby możliwość inwestycyjnego wykorzystania części podlegających rozwiązaniu rezerw walutowych banku centralnego albo zwiększony po uzyskaniu wyższego ratingu napływ bezpośrednich inwestycji zagranicznych – ale również ze sfery politycznej. Gdyby Polska podjęła przygotowania do wejścia do Eurolandu, to skończyłaby się dyskusja o Europie dwóch prędkości. To bardzo ważne. Taki podział *de facto* już istnieje, bo 19 państw strefy euro nie będzie w nieskończoność czekało na pozostałych dziewięć, czy też, uwzględniając Brexit, osiem. Dodajmy, że spośród krajów członkowskich Unii poza Wielką Brytanią tylko Dania ma traktatowe prawo pozostawiania poza obszarem wspólnej waluty. Pozostała siódem-

ka, w tym Polska, ma prawo i obowiązek wprowadzić euro u siebie. My też opowiedzieliśmy się za tym w referendum akcesyjnym w czerwcu 2003 roku. Niedługo potem, w 2008 roku, za przyjęciem euro było 70 procent obywateli, a dziś tyleż jest przeciw. Trzeba ich z powrotem pozyskać, bo tak wielkiej reformy jak przejście z systemu narodowego pieniądza do wspólnej waluty europejskiej nie dokonuje się bez poparcia większości społeczeństwa. Sporo osób dało się zwieść dezinformacjom o podwyżkach cen na Słowacji czy w krajach bałtyckich po wprowadzeniu tamże euro.

RATKOWSKI: A kraje bałtyckie właśnie z powodów politycznych przyjęły euro, bo to oznacza pogłębienie przynależności do Unii! Uważają, że obecność w systemie walutowym chroni te kraje przed ewentualną inwazją. I chyba jest coś na rzeczy?

KOŁODKO: Jeśli chodzi o „ewentualną inwazję”, to nic. Gadanie o tym to narzędzie czysto polityczne, choć brudna to polityka. O tym, co głosi się w mediach, decydują ich sponsorzy i wpływowi politycy, w znikomym zaś stopniu ludzie nauki, którzy spierają się na argumenty i dążą do obiektywnej prawdy. Nie będziemy chodzić na wiece i krzyczeć pod pomnikiem Mickiewicza, dla czego warto wejść do strefy euro, bo nikt tego nie zechce słuchać, ale trzeba dyskutować. Dlatego właśnie trzy lata temu wywiadem w „The Times Polska” i artykułami w „Rzeczpospolitej” rozkręciłem profesjonalną dyskusję na ten temat.

Kluczową sprawą jest pytanie, przy jakim kursie przyjmujemy euro. Nie należy przystępować doń ze zbyt silnym złotym, a tego wielu nie chce zrozumieć, bo wydaje im się, że silny złoty oznacza silną, czyli w ich interpretacji dobrą gospodarkę. Otóż niekoniecznie, bo jeżeli jest to korzystne, gdy wyjeżdżamy na zagraniczne wakacje albo kupujemy importowane towary, to źle się dzieje, gdy chcemy rozkręcić turystykę przyjazdową albo opłacalnie eksportować towary wytworzone w kraju. To ważne, gdyż utrzymanie wysokiej dynamiki rozwojowej wymaga strategii wzrostu ciągniętego przez eksport. Polski eksport musi rosnąć szybciej niż import, a obie te kategorie mają zwiększać się szybciej niż PKB, będąc kołem zamachowym wzrostu gospodarczego. To natomiast wymaga wysokiej konkurencyjności polskiej gospodarki, która z kolei zależy m.in. teraz od kształtowania się kursu walutowego, a strategicznie od kursu, po jakim wymienimy złotego na euro.

RATKOWSKI: Dobrą ilustracją tego problemu jest np. fakt, że Litwini przyjeżdżają do Polski po żywność. I to nie oznacza, że tam panuje skrajna drożyzna, tylko że wartość euro ustawiona została zbyt wysoko. Zarabiają tyle, że im się opłaca przyjeżdżać do Polski na zakupy.

KOŁODKO: Na argument, że na Litwie czy we Włoszech coś podrożało, odpowiadam – owszem tak, zdarzy się, że ktoś zaokrągli cenę w górę, ale będą też zaokrąglania cen w dół. Te drugie przypadki nie są wszak czymś atrakcyjnym dla dziennikarzy poszukujących potwierdzenia uprzedzeń swoich czytelników, których wcześniej wychowywało się przez lata w nieufności. Raz jeszcze: aby ceny poszły w górę, musi to akceptować siła nabywcza ludności,

musi zaistnieć nadwyżkowy popyt na określone dobra nad podażą. Sam fakt wprowadzanie euro nic tu nie zmienia.

RATKOWSKI: I tak się stało ostatnio w Polsce z cenami żywności, szczególnie w niższym i średnim segmencie, z chwilą gdy pojawiło się 500+. Rodziny wielodzietne stać już na masło!

KOŁODKO: Jeżeli nie pojawi się dodatkowy popyt, to ceny bezkarnie nie pójdą w górę. Jeśli sprzedawca spróbuje je podnieść, napotka barierę popytu. Może sprzedać drożej, ale mniej i najczęściej mu się to nie opłaci.

RATKOWSKI: A dwuwalutowość? Przed wojną przy większych zobowiązaniach w grę wchodziły dolary, a i dziś tu i ówdzie w Polsce można płacić euro, na przykład w ośrodkach wypoczynkowych.

KOŁODKO: Owszem, faktyczna dwuwalutowość istnieje, tyle że w krajach przeżywających głęboki kryzys, na przykład w Wenezueli czy w Zimbabwie. Tam akurat oznacza to, że państwo utraciło zdolność do sterowania gospodarką. Są też kraje z pozytywnym doświadczeniem, które uciekły do przodu, przechodząc całkowicie na dolary, jak Ekwador w końcu lat 90. (bez apriorycznej zgody USA i współpracy z MFV) czy Wschodni Timor z chwilą uzyskania niepodległości w 2002 roku (z taką zgodą i przy takiej współpracy). Także w Panamie amerykańskie dolary są od dawna w obiegu.

RATKOWSKI: A kiedyś w „Polityce” Rostowski z Andrzejem Bratkowskim proponowali jednostronną euroizację...

KOŁODKO: Są tylko dwa kraje, które posługują się walutą euro bez członkostwa w Europejskim Banku Centralnym, a nawet bez przynależności do Unii Europejskiej. To maleńkie Kosowo (niespełna dwa miliony mieszkańców) i Czarnogóra (nieco ponad 600 tysięcy). I to, że mają euro, im pomaga. Nikt tam też nie bajdurzy, że wprawdzie muszą dogonić Niemcy... A pomysły Rostowskiego i Bratkowskiego są nieodpowiedzialne, na co zechcieli sobie pozwolić, skoro byli tylko doradcami i nie ponosili odpowiedzialności. Gdy zaś Rostowski miał już coś do powiedzenia jako minister finansów, to temat przestał istnieć.

SĘKOWSKI: Na przywołanym tutaj spotkaniu premier Belka stwierdził, że jest za przyjęciem euro pod warunkiem, że Polska zostanie wyłączona z mechanizmu „korytarza walutowego”. I żeby Polska przekonała do tego Unię, bo w mechanizmie tzw. węża w tunelu widzi pewne zagrożenie dla całego procesu euroizacji.

KOŁODKO: Znam ten pogląd i go nie podzielam. To ważne kwestie techniczne, jednakże ich zmiana wymagałaby zmian europejskich reguł gry. Oznaczałoby to, że UE i architekci strefy euro musieliby dla jednego kraju zmienić zasady obowiązujące wszystkich uczestników tego przedsięwzięcia. Byłby to czynnik, który mógłby uruchomić polonosceptycyzm po tamtej stronie, a w Polsce nasilić dodatkowo eurosceptycyzm w pewnych kręgach polityki i społeczeństwa, „bo oni się nie zgadzają na mądre polskie propozycje”. Przy okazji ktoś inny, na przykład Włochy, mógłby zażądać jakiegoś innego rodzaju ulg czy specjalnego statusu odnośnie do dopuszczalnej wielkości długu publicznego albo deficytu budżetowego. Przy kryteriach



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

konwergencji walutowej z Maastricht – acz są one niedoskonałe – nie należy majstrować; trzeba je przestrzegać. Polski to też dotyczy i akurat pod tym względem w ostatnich latach jest nieźle.

Opowiadam się więc za wejściem do Eurolandu wedle wszelkich reguł, ale – podkreślam – po kursie korzystnym dla naszych eksporterów. Zbyt wysoki, przewartościowany kurs złotego mógłby oznaczać początkowo wyższe, już liczone w euro, zarobki Polaków, ale odpowiednio wyższe też byłyby ceny nabywanych towarów, bo wszystko – płace i ceny, emerytury i czynsze, stypendia i opłaty, premie i marże, bonusy i podatki, etc. – będzie podzielone przez tę samą kwotę, na przykład przez 4,00, z dokładnością do drugiego miejsca po przecinku.

RATKOWSKI: Tyle że kurs wejścia zależy nie tylko od nas, to musi być właśnie efekt „korytarza”, o którym była mowa. No i trzeba by wygrać wybory.

KOŁODKO: W ramach korytarza ma się przecież określoną swobodę ruchu. Naturalnie, strach jest potężnym narzędziem w polityce, stąd tak wielu polityków kłamie, i to bez najmniejszej żenady. Inni niewiele z tego wszystkiego rozumieją i w rezultacie zamiast spokojnego, profesjonalnego i odpowiedzialnego dialogu oraz elementarnej edukacji ekonomicznej mamy otumaniania i szkodliwą dla polskiej sprawy propagandę.

Ludzi trzeba traktować poważnie, a nie jak maszynkę do głosowania. To społeczeństwo, a nie elektorat. Pytaliście panowie o *Strategię dla Polski*, o *Program naprawy finansów Rzeczypospolitej*.

Podczas realizacji tych wielkich przedsięwzięć podchodziliśmy do dialogu społecznego poważnie i odpowiedzialnie. Spotykałem się z wieloma środowiskami – od licealistów do emerytów, od wojska po uczonych, od rolników po górników, od nauczycieli po artystów, w ośrodkach wielkomiejskich i wiejskich. Prawie wszędzie, bez mała z wszystkimi. Tłumaczyłem istotę naszego programu społeczno-gospodarczego, pokazując dlaczego na dłuższą metę jest to dla nich korzystne, bo efekty przewyższają koszty. Przytłaczającą większość kwestii ekonomicznych da się wyjaśnić, choć wymaga to dobrych kanałów komunikacji, cierpliwości i właściwego języka. Inaczej się mówi w kręgu menedżerów, a innym językiem, gdy się ma do czynienia z osobami niepełnosprawnymi, inaczej w otoczeniu siedemnastolatków, inaczej pośród siedemdziesięciolatków. I da się ludzi pozyskać dla mądrych reform bez szantażowania ich brakiem alternatywy czy widem inwazji, bez obiecywania gruszek na wierzbie czy kupowanie nastą emeryturą.

CHUDZIŃSKI: Ale fakty są nieubłagane. Mamy *Strategię dla Polski* i inne programy, Pan jest przekonany, że w większości udało się je zrealizować, a lewica przegrywa wybory w 2005 roku z wynikiem poniżej 10 procent. Czy wszystko na komunikację zwalimy?

KOŁODKO: Nie wszystko, ale i też niemało. Gdy byłem w pierwszych trzech rządach, podczas realizacji *Strategii dla Polski* regularnie, co tydzień, przez z górą trzy lata pisałem eseje do „Polityki” pod nagłówkiem *Odpowiedzi i pytania*. Otóż właśnie tak, nie *Pytania*

i odpowiedzi, bo odpowiedź ekonomisty staje się od razu pytaniem dla polityka. Skądinąd to fascynujące, jak się samemu występuje w obu tych rolach naraz. Wtedy – już po odejściu z rządu na własne życzenie, patrząc jak rządzący uprawiają politykę, a także z agresją opozycji – w maju 1997, będąc chwilowo w Londynie, napisałem artykuł pt. *Jak przegrać wybory*. Było to o ówczesnej przegranej labourystów, ale odniesienia do nadchodzącej przegranej SLD były oczywiste. I tam, i tu sytuacja gospodarcza była bardzo dobra – a przegrali. Gdy w USA wygrał Donald Trump, też sytuacja gospodarcza była bardzo dobra po drugiej kadencji Baracka Obamy. Nie będę tak okrutny przypominając narrację premiera, jak wyjątkowo nieopatrznie Cimoszewicz wypomniął powodziałom, że się zawczasu nie ubezpieczyli, co ówczesna totalna opozycja wykorzystała bezlitośnie. Ale zdecydowały też inne czynniki pozaekonomiczne: pewne zmęczenie materiału, wygrane wybory prezydenckie przez Kwaśniewskiego, których bez osiągnięć już początkowej fazy *Strategii dla Polski* i w konsekwencji poprawy sytuacji gospodarczej pewnie by nie wygrał. No i przecież już po kilku latach lewica z ludowcami wróciła do władzy. Takie są prawa demokracji.

Co zaś do rządu Leszka Millera, to przecież przegrał przez aferę Rywina, a nie przez gospodarkę. Ponadto gdy minister Hausner wystąpił otwarcie przeciwko mnie, atakując bez pardonu *Program naprawy finansów Rzeczypospolitej*, to premier Miller nie potrafił nad tym zapanować. I nie pomogła też interwencja Kwaśniewskiego. Ja natomiast już wcześniej podjąłem decyzję – nazwałem to „operacją awans” – że podam się do dymisji nazajutrz po pierwszym posiedzeniu rządu po zwycięskim referendum w sprawie wejścia do Unii Europejskiej. Wcześniej odejść nie mogłem, gdyż sprawa referendum miała fundamentalne znaczenie i ze swej strony czyniłem wszystko co możliwe, aby je wygrać. Wygraliśmy, więc natychmiast awansowałem. Znowu do pełnej wolności politycznej, bo intelektualną zachowywałem bez przerwy. A to trudna sztuka.

RATKOWSKI: Tak jak minister Czerwińska nie mogła odejść z rządu PiS przed wyborami do parlamentu europejskiego.

KOŁODKO: Nie wiem, być może, choć nie widzę tu żadnej analogii. Ja odchodziłem z polityki w ogóle i na zawsze, a nie na drugą stronę ulicy, na własne życzenie, ale nie wskutek czyjegokolwiek żądania, choć pragnął tego zapewne niejeden. Cóż, polityka kieruje się wielorakimi przesłankami.

RATKOWSKI: Churchill wygrał wojnę i przegrał wybory!

CHUDZIŃSKI: Każdy z naszych rozmówców na prawo bronić swych przekonań i dorobku, ale czy nie nachodzi niekiedy Pana refleksja, że „po mojej stronie też jakieś błędy były, że gdzieś się pomyliłem”?

KOŁODKO: Po trzech godzinach rozmowy wraca Pan do początku i każe mi się rozliczać z różnych błędów technicznych, które gdzieś tam oczywiście były?

CHUDZIŃSKI: Chodzi mi raczej o kwestie kluczowe. Na przykład, czy zamiast przekonywać różne środowiska do rozumienia mechanizmów gospodarki i tym samym do zaciskania pasa, nie

należało zwiększać popytu wewnętrznego dając ludziom więcej pieniędzy „do ręki”, co robi – z dobrym dla siebie skutkiem – PiS, lub stwarzać możliwości ich zarobienia. A Miller z uporem powtarzał: podzielić możemy tylko to, co wypracujemy.

KOŁODKO: I w tej sprawie akurat miał rację. Jeśli chodzi o wyjaśnianie praw wolnego rynku, komunikowanie się ze społeczeństwem, to był także proces uczenia się. Wchodząc do polityki zrozumiałem, że liczy się zdobycie poparcia większości, a nie tylko racja. Przy tym stole jest nas czterech i możecie mnie Panowie przegłosować. W nauce inaczej to działa. W polityce mogę albo „rzucić papierami”, albo „wiosłować pod górkę” i czekać, aż naród, w tym większość klasy politycznej, będzie „za”.

Z tego punktu widzenia mogę powiedzieć, że to moje wejście do polityki to był najlepszy staż, jaki mógł spotkać człowieka nauki, profesora-teoretyka zderzającego się z praktyką. W tym przypadku chodzi o strategię rozwoju zderzającą się z tętniącym różnorodnością i bogactwem form życiem społeczno-gospodarczym. To był swego rodzaju eksperyment, bo robiliśmy pewne rzeczy po raz pierwszy. Wręcz po raz pierwszy na świecie i w historii. Cudem byłoby się przy tym raz i drugi nie pomylić, a cudów – jak wiadomo – nie ma. A już na pewno nie w gospodarce.

Mówiąc o innowacyjnej gospodarce w *Strategii dla Polski*, miałem na myśli innowacje technologiczne, ale też i organizatorskie. Tzw. szokowa terapia była czymś innowacyjnym, ale konsekwentnie uważam, że w wielu punktach błędnie pomyślana, w innych źle zrealizowana. *Strategia dla Polski* to była też innowacja organizacyjna. Nikt nigdzie wcześniej nie próbował wprowadzić w miejsce upadłego realnego socjalizmu po niepowodzeniach narzucenia w jego miejsce neoliberalnego kapitalizmu – społecznej gospodarki rynkowej. I to w dodatku na ścieżce przyspieszania zrównoważonego wzrostu i szerokiego otwierania się na integrację z globalizującą się gospodarką zewnętrzną. To na pewno nie był błąd. Wszakże pędząc i robiąc taki ogrom reform naraz, oczywiście musieliśmy jakieś błędy popełniać. Miały one jednak znaczenie drugorzędne, jak na przykład wpadka z darowiznami, za co został zdymisjonowany wiceminister finansów Witold Modzelewski czy z góry skazana na polityczne niepowodzenie próba wprowadzenia przy okazji amnestii podatkowej deklaracji majątkowych.

Polityka to sztuka kompromisu, a uczeni nie znoszą kompromisu. Nie mogę pójść na kompromis w kwestii, ile jest dwa razy dwa?, choć szybko polityka mnie nauczyła, że zaiste bywa to tak, jak w starym żydowskim dowcipie: to zależy, sprzedajesz czy kupujesz... Te różnego rodzaju kompromisy najwięcej mnie kosztowały intelektualnie i emocjonalnie. I jak długo kompromisy mieściły się w dopuszczalnej skali, tak długo jak nie stawały w sprzeczności z principiami, to je akceptowałem. Tak, są rzeczy ważne i ważniejsze. Gdy ich akceptować nie mogłem, dwa razy nie wszedłem do rządu, choć mogłem, i dwa razy zeń wyszedłem na warunkach przez siebie wyznaczonych. Bywało tak, że przeprowadzałem po swojemu pewne sprawy, wbrew prawie całemu rządowi, jak w przypadku obniżenia podatków, korzystając z poparcia prezydenta Kwaśniewskiego. Jak Marek Bo-

rowski został ministrem finansów jesienią 1993 roku, podniesiono podatki od dochodów osobistych – z 20, 30 i 40 na 21, 33 i 45 procent – głosząc, że to tylko na jeden rok. Szybko okazało się, że ani SLD, a jeszcze bardziej PSL bynajmniej nie zamierzają tej obietnicy dotrzymać. Na mnie żadne polityczne zobowiązanie nie ciążyło, acz wpisałem zamysł obniżenia PIT już w 44 tezach *Strategii dla Polski*, kierowałem się natomiast głębokim przekonaniem, że akurat w tamtej fazie rynkowych reform i przy ówczesnej dynamice gospodarczej warto to zrobić, bo będzie to sprzyjać zarówno spójności społecznej, jak i formowaniu kapitału. Udało się to dopiero z początkiem roku 1997, kiedy podatki od dochodów osobistych wróciły w górnych przedziałach odpowiednio do 40 i 30 procent, a dolna stawka spadła nawet poniżej poziomu *ex ante*, bo do 19 proc.

RATKOWSKI: Śledzi Pan z wielką uwagą proces odchodzenia od realnego socjalizmu w Chinach. Czy przypadkiem nie mamy tam do czynienia nie z „powrotem do kapitalizmu”, tylko z nową formacją społeczno-ekonomiczną?

KOŁODKO: Napisałem na ten temat książkę pod prowokującym tytułem *Czy Chiny zbawią świat?* Właśnie ukazuje się także po angielsku i chińsku. Otóż jeśli trzymać się trochę sztampowej dychotomii socjalizm-kapitalizm, to Chiny odchodzą od socjalizmu, natomiast nie przechodzą do kapitalizmu. Na ten temat nie ma nic w podręcznikach ekonomii czy filozofii lub nauk politycznych, bo coś takiego wedle dotychczasowego stanu wiedzy nie powinno zaistnieć.

Tamtejszą rzeczywistość ekonomiczno-społeczno-polityczną nazywam „chinizmem”. Od trzech dekad, od wspomnianej pierwszej wizyty w 1989 roku, skwapliwie śledzę chińskie przemiany gospodarcze i polityczne. Chiny wyciągnęły także wnioski z polskich doświadczeń, z polskiego stanu wojennego i zrobiły to, czego nasze władze nie zrobiły po 13 grudnia 1981 roku. Otóż Pekin także postawił nie na demokratyzację ustroju, lecz na urynkowanie gospodarki, tyle że zrobił to konsekwentnie i skutecznie. Nie próbują łączyć limitowanego pluralizmu politycznego z częściowym urynkowaniem, co my robiliśmy latach 80., już po stanie wojennym. Chiny na to nie poszły, bo już wiedzą, także z polskiego doświadczenia, że to z czasem oznacza koniec systemu monopartyjnego.

Chiny to kategoria sama w sobie, to wielka sprawa, która wymyka się z tradycyjnych schematów analiz ekonomicznych, socjologicznych i politologicznych. Przypadek chiński nie mieści się w ich paradygmatach. To za sprawą Chin znowu aktualne stały się pytania: co to jest socjalizm?, co rozumie się przez kapitalizm?, jest jeszcze coś innego? Co to jest system monopartyjny, a co oznacza autorytaryzm? Gdzie kończy się pluralizm, a zaczyna demokracja? Przy okazji wrota do tej debaty jeszcze szerzej otwieramy my – od Europy Wschodniej po Stany Zjednoczone, gdzie w niektórych krajach tej pierwszej pod znakiem zapytania staje istota liberalnej demokracji, a w tych drugich tyleż samo młodych ludzi, w przedziale wieku od 18 do 29 lat, bo aż około 45 procent opowiada się i za kapitalizmem, i za socjalizmem. Ani chybi, przez jedno i drugie rozumieją oni zupełnie coś innego nie

tylko niż Chińczycy, lecz także zgoła coś odmiennego niż Pan Redaktor, pytając o to, czy w Chinach odchodzi się od socjalizmu i idzie ku kapitalizmowi.

Abstrahując od warstwy politycznej, a patrząc wyłącznie przez pryzmat ustrojowych kryteriów ekonomicznych, to z pewnością Chiny współcześnie są zdecydowanie bardziej gospodarką rynkową niż planową, w większym stopniu opiera się ona na prywatnej niż państwowej własności środków produkcji, więc jest bardziej nasycona kapitalizmem niż socjalizmem. Ale w sensie politycznym to jest system autorytarny, tyle że oparty na merytokracji. I to zasadniczo go różni od innych autorytaryzmów, na przykład od Arabii Saudyjskiej czy Egiptu.

RATKOWSKI: A może mamy do czynienia z nowym podziałem klasowym? Może „klasą dla siebie” stała się formacja, która wyłoniła się z Komunistycznej Partii Chin? U nas Kaczyński próbuje zbudować podobną strukturę, obsadzając wszystkie stanowiska kierownicze w polityce i gospodarce ludźmi PiS.

KOŁODKO: Sprawa jest bardziej złożona. Chiny to jednak 5 tysięcy lat historii z wciąż dającą się zauważyć spuścizną konfucjanizmu, to miliard 400 milionów ludzi, to już, licząc parytetem siły nabywczej, największa gospodarka świata. Co ciekawe, już Marks pisał o „azjatyckim sposobie produkcji”, gdzie społeczności związane są chociażby determinującym kształt władzy wspólnym systemem nawadniania pól. To nie mieściło mu się w koncepcji następujących po sobie formacji: niewolnictwa, feudalizmu, kapitalizmu. Trzeba było wymyślić jakąś nową kategorię ustrojową, ale dziś nie da się już zastąpić pojęciem „azjatyckiego sposobu produkcji” – ani w odniesieniu do samych Chin, ani tym bardziej wobec innych, jakże zróżnicowanych gospodarek tego wielkiego kontynentu. Ale o ile wszystkie pozostałe – poza Chinami i innymi krajami posocjalistycznej transformacji, zwłaszcza Wietnamem, bo w mniejszym stopniu Kambodżą, Laosem i Mongolią – da się włożyć do pojemnego worka z napisem KAPITALIZM, to Chin wcisnąć się tam się już nie uda.

Uważam, że choć Chiny świata nie zbawią, to w tej fazie nieodwracalnej globalizacji więcej mogą wnieść do przyszłości świata niż jakikolwiek inny pojedynczy kraj. Rozpętanej przez prezydenta Trumpa wojny handlowej i nakręcanej przez niego drugiej zimnej wojny Chiny nie przegrają, ale też i jej nie wygrają, *per saldo* na długą metę, wbrew intencjom Zachodu, wyjdą z tego starcia relatywnie mocniejsze. Innymi słowy, za kilkanaście i więcej lat pozycja ekonomiczna i polityczna Chin w skali tego już nieodwołalnie wielobiegunowego świata będzie relatywnie silniejsza. Jakiż to wielki paradoks, że więcej w sprawie pożądanej reinstytucjonalizacji globalizacji i nadania jej inkluzyjnego charakteru może mieć do powiedzenia chiński „komunistyczny przywódca” niż amerykański prezydent, przywódca „liberalnego Zachodu”...

Co zatem chiński eksperyment historyczny wnosi do funkcjonowania gospodarki i rozwoju świata? Proponowany model nie nadaje się dla nas, ale dla niektórych państw południowej Azji, Bliskiego Wschodu i Afryki naśladowanie modelu chińskiego może okazać się atrakcyjne. Tej formule towarzyszy brak demo-

kracji, więc trudno się za nią opowiadać, bo byłoby to niepoprawne politycznie, a przecież niby wszyscy w ramach tej poprawności jesteśmy demokracją. Otóż bynajmniej nie wszyscy. Demokracja jest wartością samą w sobie, ale to nie znaczy, że zawsze i wszędzie sprzyja wzrostowi i rozwojowi; tak się dzieje pod pewnymi dodatkowymi warunkami, które mogą być spełnione albo nie. To jest zagadnienie kontekstowe. Akurat reżim chiński bardziej sprzyja wzrostowi niż demokracja pakistańska. Mamy demokrację w Wielkiej Brytanii, która zaowocowała *brexitem*, czyli anarchizacją życia politycznego, z negatywnymi skutkami także dla gospodarki.

CHUDZIŃSKI: Stare demokracje nie zawsze potrafią obronić... demokrację, czego przykładem Republika Weimarska.

KOŁODKO: Nie ma więc prostego przełożenia między demokracją a rozwojem gospodarczym, ale też nie ma odwrotnej zależności – między autorytaryzmem a wzrostem gospodarczym. I jeśli jakiś przywódca afrykański, bliskowschodni (a może nawet europejski, kto wie?) mówi, że trzeba wziąć to wszystko za twarz, tak jak Chińczycy, a próby takie podejmowano w Kongo czy Sudanie, to i tak nie będzie tam wieloletniego szybkiego wzrostu gospodarczego. Chinizm jest uwarunkowany politycznie i kulturowo, i dlatego nie jest tak łatwo eksportowalny, jak być może wydaje się to niektórym po stronie potencjalnego eksportera i niejednemu chętnemu importerowi.

Nie należy oczekiwać w Chinach jakiejś „antykomunistycznej” rewolty ani anarchizacji, czy wymykającej się spod kontroli destabilizacji politycznej, choć eskalacja problemu Hongkongu i ciężący problem reintegracji z macierzą Tajwanu to poważne wyzwania. System chinizmu, reformując się stopniowo, bez szoków, za to z dużą dawką terapii, przetrwa, o ile uda się utrzymać w miarę wysoką dynamikę rozwoju gospodarczego i zmniejszone zostaną nierówności dochodowe. Jest tam bowiem tak, jak w latach 70. rzekł człowiek narysowany kreską Szymona Kobylińskiego w prawym górnym rogu tytułowej strony „Polityki”: „Powiedzieli mi »morda w kubel«, ale na szczęście kubel był pełen żarcia”. My w Polsce też wtedy nie robiliśmy rewolucji, nie żądaliśmy kapitalizmu w początku lat 70., bo się przejściowo kubel napełniał. Z czasem sytuacja się istotnie zmieniła. W Chinach czas taki na razie nie nadchodzi.

CHUDZIŃSKI: A więc mamy tam socjalizm bez niedoborów albo kapitalizm bez demokracji?

KOŁODKO: Tak, jeśli uprzeć się, że do opisu sytuacji musimy używać terminów „socjalizm” i „kapitalizm”. Uważam, że nie musimy. Chińczycy zrobili to, czego my nie potrafiliśmy. Skutecznie wyeliminowano niedobory, i to bez popadnięcia w fazę niszczycielskiej galopującej inflacji. W Chinach można dziś kupić wszystko; i miskę ryżu, więc nikt nie jest głodny, i ferrari, więc jest czym stać w korkach. Wystarczy mieć pieniądze, a są sposoby, żeby je zarobić. Dla wszystkich na miskę ryżu z wkładką, a dla bardzo nielicznych na ferrari.

Dziwić się trzeba rozmaitym ekonomistom i politologom, rozlicznym publicystom i obchodzącym z lubością kolejne rocznice mędrcom, którzy walczyli o „wolność”, że nie widzą, iż głównym powodem upadku real-

nego socjalizmu był właśnie syndrom *shortageflation*, czyli kolejki i drożyzna. To było jeszcze bardziej nie do wytrzymania, bo dotyczyło wszystkich, niż brak demokracji czy politycznego luzu, który przede wszystkim nam, intelektualistom był tak potrzebny. Chińczycy to zrozumieli, wyciągnęli z tego wnioski i znaleźli sposób, by bez zmiany reżimu politycznego wyeliminować i inflację cenową, i niedobory. Gdyby tego konsekwentnie nie uczynili – głównie polityką reform realizowanych w latach 90. – nie byłoby ich ogromnego sukcesu gospodarczego i, kto to wie, może nie byłoby tam także „komunizmu”. Alternatywą wszak nie byłaby druga, dziesięciokrotnie bardziej ludna Japonia, lecz raczej drugi Pakistan albo Bangladesz.

SĘKOWSKI: Mówimy o eksperymencie chińskim. A jakby Pan ocenił obecny eksperyment polski, bez wątplenia wyjątkowy w sferze polityki społecznej? Na 500+ nikt wcześniej u nas nie wpadł.

KOŁODKO: 500+ ładnie się nazywa, ale przecież znacznie wcześniej pojawiały się postulaty, żeby wsparcie dla rodzin zwiększać, choć nikt tego nie „zakręgał” do 500 i nie dodawał żadnego plusa. Natomiast dawanie wszystkim, bez względu na sytuację materialną jest błędne, więc dobrze, że na taki pomysł „nikt wcześniej u nas nie wpadł”. Trzeba wydłużać, nie skracać perspektywę analiz finansowych. W dłuższym horyzoncie czasowym okaże się, jak znaczna część wydatków socjalnych państwa będzie musiała być finansowana z deficytu budżetowego, a więc przyrostem długu publicznego. Część środków wydatkowanych na politycznie, bo przecież nie tylko społecznie motywowany program 500+ należało przeznaczyć na szeroki rozwój profesjonalnej opieki nad dziećmi w wieku przedszkolnym, aby ich matki mogły pracować i, decydując się na kolejne dziecko – zasadniczo chodzi o drugie albo trzecie – nie obawiały się, że wypadną z rynku pracy.

Pytacie Panowie, dlaczego SLD nie dało 500+? Bo ani nie mogło, ani nie powinno. Przypominam, że kiedy pierwszy raz przejęła władzę, po okresie szoku bez terapii, inflacja wynosiła 37 proc. a nie 1,5 proc., trzeba było walczyć z bezrobociem, które wciąż rosło i przekraczało aż 20 proc., a nie 5 jak teraz, że trzeba było liberalizować gospodarkę, by się dostosować do wymogów OECD, co nam otwierało bramy na świat, i przygotowywać struktury oraz instytucje społecznej gospodarki rynkowej. Trzeba było wprowadzać pełną wymienialność złotego i ubezpieczyć depozyty oszczędnościowe ludności. Za drugim razem, kiedy to po przechłodzeniu bez sensu rząd AWS-UW doprowadził do stagnacji – w czwartym kwartale 2001 roku PKB rósł o śladowe 0,2 procent – trzeba było przywrócić gospodarce zdolności rozwojowe i spełniać warunki przystąpienia do Unii Europejskiej. To zrobiliśmy i dlatego w niej jesteśmy. Dodam, że gdy pomysły nie aż takich szaleństw jak 500+ na każde dziecko, ale coś w rodzaju emerytalnej trzynastki się pojawiały, utracąłem je w zarodku. Tak, należy walczyć z biedą, a tej najwięcej zdarza się w rodzinach wielodzietnych, dlatego też potrzebny jest odpowiedni system zasiłków rodzinnych oraz wysoki poziom publicznych nakładów na wychowanie i kształcenie dzieci. Tak, należy poprawiać materialne warunki życia emerytów i rencistów, ale nie przez wypłacanie politycznie motywowanych

„13.” i „14.”, lecz poprzez idące w ślad za wzrostem płac podpartym wzrostem wydajności pracy stosowne podwyżki świadczeń w ramach powszechnego systemu emerytalnego oraz wysoki poziom służby zdrowia, z której to usług pokolenie weteranów pracy korzysta w największym stopniu. Taka lekka ręka w sferze socjalnej dobroczynności i rozdawanie bez głębszej ekonomicznej refleksji publicznych pieniędzy to populizm, a ten na długą metę, wbrew deklarowanym intencjom i naiwnej wierze mas, nie służy społeczeństwu.

A skoro już jesteśmy przy „plusach”, to gdyby przyjrzeć się temu, co nazwać by można 30+, czyli epoce transformacji ustrojowej, to zrobiliśmy w tym czasie znacznie więcej w dziedzinie budowania gospodarki rynkowej niż w dziedzinie tworzenia dojrzałej demokracji. W Polsce rynek sprawdza się zdecydowanie lepiej niż demokracja. Rynek się nie kompromituje, a liberalna demokracja i owszem. Tym bardziej trzeba jej bronić. Z tego punktu widzenia miniony już okres jawi się jako bardzo ciekawy i warto było go aktywnie przeżyć. Wymaga on spokojnej oceny, obserwacji i odwagi w głoszeniu niepopularnych poglądów.

RATKOWSKI: A może PiS nie robi nic innego niż to, co postulowano jeszcze w początkach transformacji, a mianowicie nakręcanie popytu przez poluzowanie polityki monetarnej?

KOŁODKO: Owszem, były takie koncepcje, ale to, co dzieje się dziś, jest mocno przesadzone i chociaż nadspodziewanie dobrze układa się sytuacja makroekonomiczna, także od strony budżetowej, to nie mamy do czynienia z żadnym „cudem gospodarczym” autorstwa PiS-u. Co zaś do polityki monetarnej NBP, to od wielu lat jest ona, zasadniczo biorąc, poprawna. PiS, niezależnie od osiągnięć własnej polityki społeczno-gospodarczej, korzysta z dorobku poprzednich okresów, z dobrej koniunktury, do której dokładają swoje posunięcia. Nakręcanie koniunktury poprzez zwiększanie wydatki budżetowe i zwiększany popyt to typowe keynesowskie posunięcie. Ale nie należy przesadzać. To ma sens ekonomiczny, kiedy rząd transferami podwyższa dochody gospodarstw domowych i nakręca ich wydatki w sytuacji istnienia niewykorzystanych mocy wytwórczych, a tak właśnie było wskutek powściągliwej w tej materii polityki okresu „zielonej wyspy”. Gdy nie ma ograniczeń popytowych, bo jest od tej strony patrząc wszystko: surowce, energia, maszyny, siła robocza – inżynier, majster i robotnik – tylko popytu nie ma. Łatwo wytworzyć, trudno sprzedać. Dajemy więc ludziom pieniądze z kasy publicznej, choć ta – przypomnijmy – wciąż jest niezrównowazona, cechuje ją deficyt. Pieniądze płyną szerszym strumieniem, towary się sprzedają, spożycie rośnie; zadowoleni są producenci i, co jeszcze ważniejsze, konsumenci. Ale taka sytuacja rynkowa także nakręca import i pogłębia nierównowagę, skądinąd umiarkowaną, bilansu handlowego. Jeśli dodatkowy strumień popytu jest zbyt duży, skłaniać to może producentów i sprzedawców do podnoszenia cen, co już w jakiejś skali się dzieje. Trzeba uważać.

RATKOWSKI: Na przykładzie Krakowskiej Izby Przemysłowo-Handlowej nie widać, żeby zanosiło się na boom inwestycyjny. Natomiast wszystko, co mam w tej chwili na sobie, wyprodukowano

w Chinach – od butów, gatek, dżinsów i skarpetek po smartfon Huawei.

KOŁODKO: Większość ekonomistów pospieszyła się z prognozowaniem załamania budżetu, ale nie są to ostrzeżenia bezpodstawne. Niebezpieczeństwo PiS-owskiej polityki polega na tym, że podejmowane są polityczne decyzje co do wydatków, które niezmiernie trudno będzie odwrócić. Wiele z tych dodatkowych wydatków obwarowane jest ustawowo, są sztywne, muszą być zgodnie z prawem dokonane, nawet gdy przeciwko temu przemawiać będą realia gospodarcze. Wszystkie partie opozycyjne, z neoliberalami włącznie, deklarują, że wydatków socjalnych, przede wszystkim 500+, nie ruszą. To zdumiewające, ale rozpętała się licytacja na populistyczne programy, na obietnice bez pokrycia, PO ściąga się z PiS-em, PSL nie chce zostać z tyłu. Dobrze, by lewica zachowała się pragmatycznie i odpowiedzialnie.

RATKOWSKI: Mówi się, że opozycja nie ma programu, ale przecież sformułowanie wspólnego programu dla tak różnych opcji, jak lewica i liberalowie jest praktycznie niemożliwe!

KOŁODKO: Antypisowość to nie jest program polityczny. Prawda, głosowaliśmy do parlamentu europejskiego na swoich wybrańców: w Warszawie oddalibyście zapewne głos na Cimoszewicza, ja głosowałem na Hübner, ale dalej nie widzę żadnego spójnego programu Koalicji Europejskiej, a ja jeszcze chciałbym, żeby to był program porywający. Sądzę, że takim czymś mógłby być „nowy pragmatyzm”, taki z polską charakterystyką. Nowy pragmatyzm to zarówno nieortodoksyjny, interdyscyplinarny zarys teorii ekonomii, a więc ujęcie opisowo-interpretacyjne (jak i dlaczego jest), jak i wynikające z niego oraz ze współczesnych wyzwań rozwojowych sposoby i kierunki polityki gospodarczej, a więc ujęcie normatywno-postulatywne (co i jak robić).

W sferze polityko-gospodarczej jest to program potrójnie zrównoważonego rozwoju, nie tylko gospodarczego, a więc dynamiczna równowaga: produkcja-sprzedaż, oszczędności-inwestycje, eksport-import, przychody-wydatki budżetowe. Chodzi też o równowagę społeczną, a więc o troskę o spójność społeczną, o nieprzekraczanie określonego poziomu nierówności dochodowych, o publiczne oraz prywatne inwestycje w kapitał ludzki. I trzecia sfera to równowaga ekologiczna, a więc stopniowa dekarbonizacja gospodarki i dbałość o czystość naturalnego środowiska człowieka. Pomiedzy tymi sferami, gdzie stykają się ludzie, zasoby naturalne, technologia, gospodarka, kultura i polityka występują określone sprzężenia zwrotne, które trzeba intelektualnie ogarnąć i, w ślad za tym, odpowiednio sterować gospodarką i jej rozwojem. Jesteśmy już w poPKBowskiej gospodarce, co wymaga poPKBowskiej teorii ekonomii i opierających się na niej poPKBowskich polityce gospodarczej i strategii rozwoju.

Niezbywalną częścią nowego pragmatyzmu jest ekonomia umiaru. Z jednej strony opisuje ona istotę gospodarki umiaru, z drugiej natomiast pokazuje, jak w praktyce produkcji i konsumpcji nie ulegać pokusie nadużycia ekologicznego i konsumpcjonizmu. Wielu z nas rozumie, że nie należy się obżerać, bo to zagraża zdrowiu, tak samo powinniśmy pojąć, że nie należy

przesadzać z nieokielzaniem w gospodarce, bo to szkodzi rozwojowi w dłuższej perspektywie. Wiemy już, że neoliberalizm to przecież nie tylko ideologia, lecz przede wszystkim ekonomiczna teoria, lansowana agresywnie, przy ogromnym zaangażowaniu niektórych mediów, także w Polsce, i przeforsowana przez pewien czas tam i tu polityka gospodarcza, która przez świadome i celowe osłabianie państwa pod hasłem zmniejszania jego roli, przez walkę z regulacjami i państwowym interwencjonizmem sprzyja bogaceniu nielicznych kosztem większości. Niezbiecnie dowodzą tego dane statystyczne ilustrujące przebieg procesów gospodarczych w krajach, którego uległy złudnemu urokowi neoliberalizmu. Doprowadził on do światowego kryzysu gospodarczego, który różne kraje dotknął w różnym stopniu. Dziś szukamy odpowiedzi na neoliberalizm, bo on nie zniknął, nie został wykończony ani z głów, ani z regulacji, ani z praktyk, on ciągle wierzga kopytami i chce wrócić, za czym stoją potężne elity z najpotężniejszymi pieniędzmi i znakomitymi ekonomistami, bo ekonomiści też lubią być dobrze opłacani.

Odpowiedzią na ułomności neoliberalizmu w wielu krajach stał się nowy nacjonalizm. To wartości, system i polityka, którą lansują m.in. Donald Trump czy Viktor Orban, a w jakiejś mierze też PiS i wielu innych „zbawców”, także w krajach Unii Europejskiej. Nie walczy się złem ze złem, nie przeciwstawia się jednej głupocie – drugiej. Teraz mamy dwu wrogów, co stawia rozsądnych pragmatyków, zwolenników godzenia efektywności gospodarczej ze sprawiedliwością społeczną w niezmiernie trudnej sytuacji, bo mam dwóch wrogów: neoliberalizm i jego populistyczne zaprzeczenie. Ale wróg mojego wroga nie jest moim przyjacielem! Tymczasem niejeden słusznie przeciwstawiając się populizmowi i nacjonalizmowi, przeszedł na pozycje neoliberalne. Lewica w tym wszystkim się gubi, choć walczy, co widać po obu stronach Atlantyku i nie tylko. Największe dla niej niebezpieczeństwo tkwi w tym, że podczas gdy jedni dają się uwieść populistom, inni mają skłonność zapominać o przywarach neoliberalizmu.

Teraz więc trzeba zaproponować coś więcej, coś odmiennego, alternatywnego wobec tych obu tendencji. Nowy nacjonalizm jest wymierzony przeciw globalizacji, natomiast nacjonalizm rosyjski, chiński, turecki czy indyjski to są „stare nacjonalizmy”. One nie są przeciw globalizacji, przeciwnie, zamierzają globalizację wykorzystać do własnych celów. Nikt nie robił tego lepiej niż Chiny. Szukając odpowiedzi na polityczne, ekologiczne, handlowe i kulturowe wyzwania globalizacji, trzeba sięgnąć do nowego pragmatyzmu. Cechuje go kontekstowość, a zrazem długofalowość i eklektycznym. Choć koncepcja to nowa, zawiera ona elementy, które czerpią z wielowiekowych dokonań nauk ekonomicznych, z jej różnych nurtów, z ekonomii neoinstitutionalnej i monetaryzmu, z marksizmu i keynesizmu, z ekonomii neoklasycznej i marksizmu. Ponadto sięga do filozofii, z której przecież kiedyś wyodrębniła się ekonomia.

RATKOWSKI: Globalizacja jest nie do odwrócenia! My w niej tkwimy i musimy z tym żyć. Pan wykląda bodaj na trzech chińskich uniwersytetach. Między innymi! Prowadzi Pan światowe życie.

KOŁODKO: Bardzo dużo podróżuję. Tylko w tym roku odwiedziłem po trzykroć USA i tyleż Chiny, a także Buenos Aires, Davos, Budapeszt, Jerozolimę, Moskwę, Uniwersytet Warwick, Barcelonę i Kijów. Turystycznie zawiątałem też na Antarktydę i odwiedziłem ponownie Indonezję, łącznie z Papuą, oraz Singapur i po raz pierwszy w życiu Wschodni Timor. To już 168. kraj, który spenetrowałem, spędzając przy okazji wiele czasu z laureatem Pokojowej Nagrody Nobla w 1996 roku, Jose Ramos-Hortą. Dziś zdecydowanie więcej publikuję poza Polską, a to dlatego, że moje prace ukazują się w różnych językach. Wszystko, co jest istotne, musi pojawić się po polsku i po angielsku, bo to jest *lingua franca* współczesności, ale także po rosyjsku i po chińsku. Dużo publikuję też po japońsku i ukraińsku. Mam tylko jeden jedyny etat, od 2000 roku wykładam w Akademii Leona, inne afiliacje są tylko tytułarne. Właśnie zostałem członkiem Academia Europaea, skądinąd jako jedyny polski ekonomista w tym gronie.

SĘKOWSKI: Uzyskał Pan 11 tytułów *honoris causa* i, co ciekawe, ani jednego w Polsce. Zdecydował się Pan na sportowy, ekologiczny tryb życia. Kiedy to się stało?

KOŁODKO: Tak, właśnie w tym roku przebiegłem 50. maraton, tym razem w Ziemi Świętej. Nurkowałem też w Morzu Suwa, pływałem po spienionych wodach na Bali, wędrowałem po górach i dolinach Papui. Do dziś, jak spotykam przyjaciela sprzed lat, pada hasło: może pół litra i golonka?, ale na hasła się kończy... Złe nawyki rzuciłem wcześniej, a sport zacząłem uprawiać dopiero, gdy znalazłem się w rządzie. Chodziłem na Torwar, gdzie zrzucąłem z siebie kilogramy i złość. Jak między czternastą a szesnastą wracałem do Urzędu Rady Ministrów. koledzy już sięgali po whisky i koniak, a ja czułem się jak młody bóg i harowałem do północy. Potem wyjechałem do Finlandii, tam jeszcze nie biegałem, tylko dzień w dzień siłownia i dwa razy w tygodniu pływanie. Później byłem w Waszyngtonie, w Banku Światowym wraz z profesorem Josephem Stiglitzem, z którym nadal się spotykam, pracowaliśmy nad koncepcją *Post-Washington Consensus*. Nawet BŚ opublikował mój artykuł na ten temat. No i tam, w tej ortodoksyjnej jaskini lwa, w MFW i BŚ, trafiłem na pełny socjalizm: siłownia zamknięta w sobotę i w niedzielę! Nie było wyjścia, energia mnie rozpiełała, zacząłem więc regularnie biegać. Później już tylko biegałem, na Yale i wszędzie indziej, bo to przecież najbardziej przystępny sposób uprawiania sportu. Dużo też pływam. Teraz biegam prawie codziennie, żeby odreagować stres i 16–18 godzin codziennej pracy. Gazet nie czytam, telewizji nie oglądam i dzięki temu dużo wiem.

CHUDZIŃSKI: Dziękujemy za rozmowę i wspólnie spędzony czas w nowej siedzibie Kuźnicy.

Rozmawiali:

**Edward Chudziński
Filip Ratkowski
Paweł Sękowski**

Kraków, 4 czerwca 2019 r.